NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 19 marca 1910. Nr. 12.

Zgon burmistrza Wiednia.

(Treść na str. 2).



Nr. 12. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Dramat miłosny w Warszawie. — Nowa opera polska. — Jaskinia hazardu. — Przyszły władca Hiszpanii. — Burzliwy strajk w Filadelfii. — Proces fałszywego dygnitarza perskiego. — „Trylogia dubrownicka“ na scenie krakowskiej. — Napad bandycki pod Warszawą. — Śmierć w płomieniach.

Zdjęcia z pogrzebu dra Luegera. — Echa tragedyi weneckiej.

Zgon burmistrza Wiednia.

Urodził się w ubogiem mieszkanku służącego politechniki wiedeńskiej, a zmarł w wspaniałych apartamentach ratusza stolicy, jako jej najwyższy dygnitarz autonomiczny, jako mąż stanu bodaj że najwybitniejszy wśród współczesnych, jako głowa stronnictwa politycznego, dziś w całem państwie najbardziej wpływowego, jako ukochany i uwielbiany przez całą ludność Wiednia burmistrz.

Do godności tych wszystkich i zaszczytów doszedł ś. p. Karol Lueger wyłącznie dzięki własnym, wybitnym zdolnościom, dzięki swym własnym zasługom i własnej pracy. Urodzony 1844 r. w Wiedniu, ukończył chlubnie szkołę ludową, a następnie gimnazyum, poczem wpisał się na wydział prawniczy uniwersytetu, który ukończył 1866 r. ze stopniem doktora praw. Poświęcił się adwokaturze, do której ciągnął go temperament ruchliwy i nadzwyczajny dar wymowy. Zamieszkawszy ze swą matką w trzeciej dzielnicy Wiednia, obrał tę okolicę za teren swej działalności politycznej. Popularność jego rosła szybko, a zdobywał ją głównie swemi ogromnie ciętemi mowami, ostrym, sarkastycznym, zjadliwym dowcipem. Już w r. 1875 wszedł do rady miejskiej, jako kandydat liberalny. Spostrzegł jednak wnet, że po stronnictwie tem nie wiele się spodziewać może, opuścił więc jego szeregi i rozpoczął przeciw niemu walkę namiętną pod popularnem hasłem antysemityzmu. Zwalczał liberałów w radzie miejskiej, zwalczał ich na wszystkich zgromadzeniach publicznych. W środkach nie przebierał, a w agitacyi był niezmordowany. Po całych nocach przesiadywał w gospodach i restauracyach, przemawiając z temperamentem i z humorem, czem zdobywał serca Wiedeńczyków. To też liczba jego zwolenników rosła szybko. W r. 1885 wszedł dr. Lueger do sejmu dolnoaustryackiego i do parlamentu, zdobywając w ten sposób nowe tereny dla swej agitacyjnej działalności. Widoczne bowiem było już wówczas, że młody agitator dąży konsekwentnie do zdobycia dla siebie stolca burmistrzowskiego w Wiedniu. Dużo jednak jeszcze lat upłynęło, zanim cel swój osiągnął. Po raz pierwszy wybrany burmistrzem 1895 r., godności tej nie przyjął, ze względu na nieznaczną większość głosów, które na niego padły. W kilka miesięcy po tem nowa rada, złożona w dwu trzecich, ze zwolenników Luegera i członków stronnictwa chrześcijańsko-społecznego, przezeń utworzonego, wybrała go powtórnie burmistrzem, wówczas jednak wyboru tego nie zatwierdził cesarz. Mimo to rada miejska ponownie wybrała go burmistrzem, ponownie też cesarz zatwierdzenia odmówił, a równocześnie rozwiązano radę miejską. Nowe wybory przyniosły nowy tryumf Luegerowi, którego też po raz czwarty powołano na burmistrza. I teraz cesarz wyboru jego nie zatwierdził, przyszło jednak do kompromisu między nim a rządem. Na razie mianowicie rządy burmistrzowskie objął Strohbach i miał je wnet potem złożyć w ręce Luegera. Tak się też stało i 1897 r. Lueger osiągnął wreszcie od tak dawna upragniony cel.



Zgon burmistrza Wiednia: Ś. p. dr. Karol Lueger.

Jako burmistrz odznaczał się dr Lueger nadzwyczajną sprężystością i przedsiębiorczością, rozwinął też działalność ogromnie wydatną i przyczynił się do olbrzymiego rozwoju i rozrostu stolicy. Stąd też pochodziło, że nawet jego najzawziętsi, nieprzejednani przeciwnicy polityczni, cenili go jako głowę miasta i oddawali pochwały zasługom na tem polu.

Agitatorem pozostał Lueger do końca życia, wiedział bowiem, że w ten sposób podtrzyma swą popularność. Warunki na mowcę, zwłaszcza mowcę ludowego, miał nadzwyczajne. Mężczyzna słusznego wzrostu, bardzo przystojny i nawet nazywany ogólnie „der schöne Karl“, obdarzony pięknym głosem, a przedewszystkiem ogromnie dowcipny i cięty, porywał tłumy swą wymową.

Jak wielki miał wpływ wśród ludności wiedeńskiej, dowodzi fakt, iż po odmówieniu sankcyi ce-



Zgon burmistrza Wiednia: Rydwan ze zwłokami ś. p. Luegera przed tumem św. Szczepana.

sarskiej dla wyboru jego na burmistrza, urządzono w Wiedniu ogromną manifastacyę pod Burgiem, Lueger brał w niej udział i wygłosił wówczas namiętną mowę, zwróconą przeciw cesarzowi. Zostawszy jednak burmistrzem, Lueger występował zawsze jako gorliwy patryota austryacki.

Od lat trzech był poważnie chory, mimo to w życiu publicznem brał czynny i żywy udział, kierując do ostatnich chwil życia i sprawami miasta i sprawami stronnictwa chrześcijańsko-społecznego. Dopiero w ostatnich kilku tygodniach zaniemógł tak ciężko, iż lekarze stracili nadzieję utrzymania go przy życiu.

Walka, jaką w ciągu tych kilku ostatnich tygodni stoczył ze śmiercią, była najstraszniejszą w życiu Luegera, choć walk tych stoczył on tyle. Organizm nadzwyczaj silny i wytrwały, opierał się postępującej chorobie. Od połowy lutego oczekiwano każdej chwili wiadomości o zgonie burmistrza. Zgon ten nastąpił jednak aż w dniu 10 marca rano.

Wiadomość o tem, choć cały Wiedeń od dawna był na nią przygotowany, wywołała olbrzymie wrażenie. Cały Wiedeń przywdział żałobę. Na ręce dwu sióstr śp. Luegera, na ręce rady miejskiej i stronnictwa chrześcijańsko-społecznego nadesłano z całego państwa a nawet z poza jego granic mnóstwo kondolencyi.

Zwłoki zmarłego burmistrza złożono w wspaniale udekorowanej hali ludowej ratusza, do której wstęp ograniczono. Mimo to natłok ludności był tak olbrzymi, iż policya piesza i konna z trudem tylko mogła wśród tłumów utrzymać porządek.

Pogrzeb Luegera odbył się dopiero w poniedziałek d. 14 b. m. Cała niemal ludność wylegla na ulice stolicy, by być świadkiem żałobnego aktu. Pogrzeb rozpoczął się o godz. wpół do 12 z żałobnie przybranego ratusza. Po pokropieniu zwłok przez proboszcza Votivkirche, 16 trębaczy z Volksoper odegrało z *logu* ratuszowej marsza żałobnego ze *Zmierzchu bogów* Wagnera. Czarną, metalową trumnę wyniesiono z hali i umieszczono na karawanie. Wiceburmistrz dr. Neymayer pożegnał zwłoki imieniem Rady i kondukt ruszył ku parlamentowi.

Karawan poprzedzały oddziały miejskiej i ochotniczej straży pożarnej, dalej postępowały deputacye służby miejskiej, stowarzyszenia śpiewackie ze sztandarami, cechy i korporacye studenckie. Na kilkunastu wozach wieziono tysiąc z górą wieńców. Za karawanem niesiono łańcuch burmistrzowski i ordery zmarłego, w powozach tuż za karawanem jechały siostry zmarłego, żony wiceburmistrzów i siostra Miłosierdzia, która pielęgnowała zmarłego. Dalej w pochodzie postępowali wiceburmistrze, radni, deputacye miast, w tem Krakowa i Lwowa, prezydenci obu Izb Rady państwa, posłowie do parlamentu i członkowie Izby panów, posłowie sejmu dolno-austryackiego, deputacye oficerów i szkół itd.



Zgon burmistrza Wiednia: Radni stolicy z wiceburmistrzem dr. Neymayerem (X) na czele orszaku pogrzebowego.

Przed gmachem parlamentu wygłosił mowę wicemarszałek sejmu dolno-austryackiego Freudenthal, żegnając zmarłego imieniem sejmu. Po nim wygłosił mowę pożegnalną imieniem parlamentu prezydent Izby dr. Pattai, wskazując na śp. Luegera jako na wzór zupełnego poświęcenia się dla celów publicznych.

Koło godz. 1 w południe przybył kondukt pogrzebowy przed tum św. Szczepana, gdzie pochodu oczekiwał cesarz wraz z arcyksiążętami i arcyksiężniczkami, otoczony dygnitarzami dworskimi, członkami ciała dyplomatycznego, ministrami i prezydentami obu Izb.

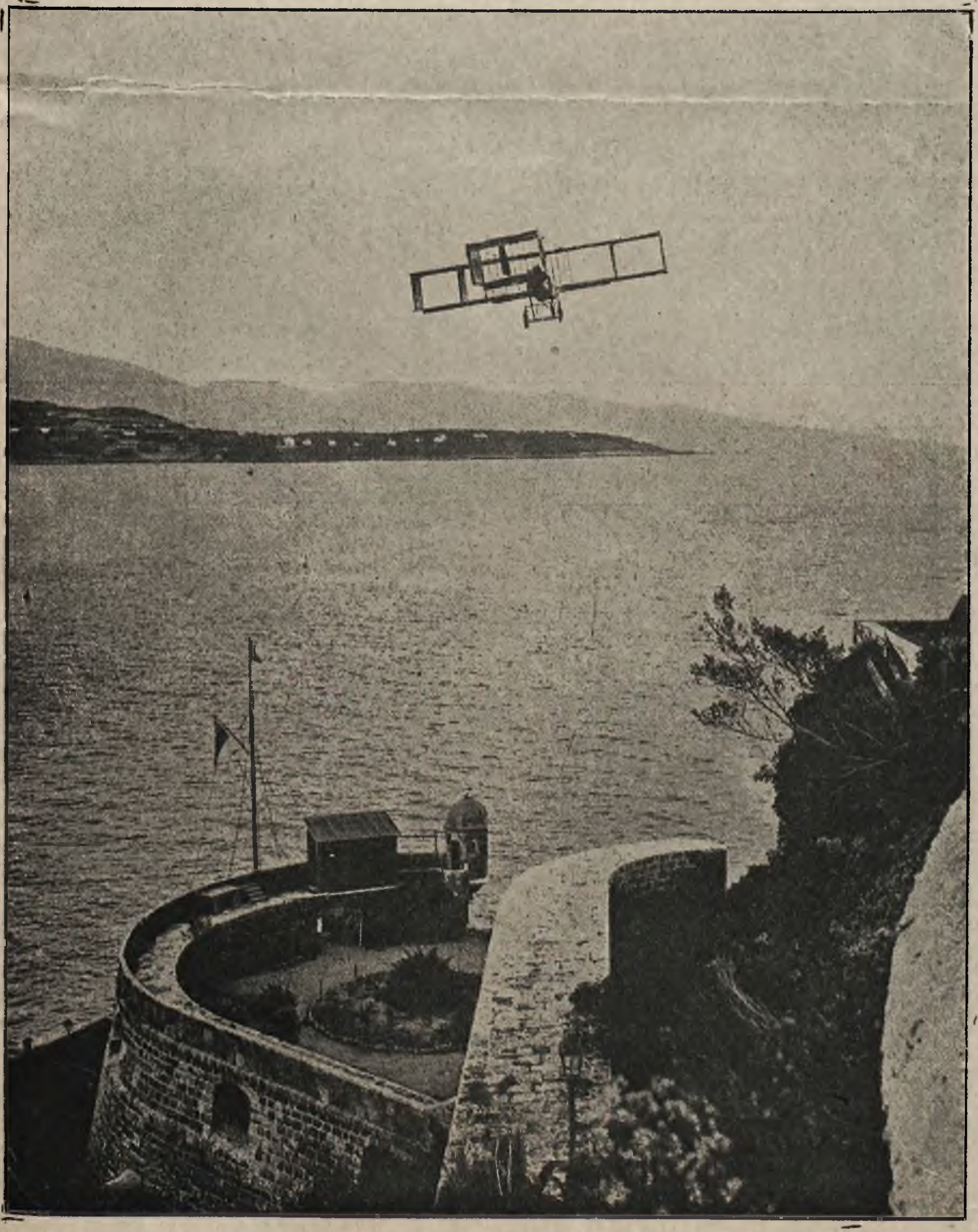
Przez wielką bramę wniesiono zwłoki do kościoła i umieszczono trumnę na katafalku. Po odprawieniu ceremonii żałobnych cesarz odjechał do Schönbrunnu, a kondukt ruszył w kierunku centralnego cmentarza, gdzie nad grobem przemówił wiceburmistrz Porzer, dziękując zmarłemu za jego pracę nad rozwojem i podniesieniem stolicy. Imieniem stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego żegnał zmarłego przywódcę były minister dr. Gessmann, ślubując nad świeżym grobem przestrzeganie jedności i idei, które zmarły w swym testamencie politycznym swym następcom przekazał. Następnie żegnali śp. dra Luegera: radny Wessely imieniem klubu mieszczańskiego i dyrektor magistratu Appel, imieniem urzędników gminy.

Następnie złożono zwłoki prowizorycznie w grobowcu matki Luegera.

Mimo tłumnego udziału ludności stolicy w pogrzebie, porządek panował wzorowy. Ruch tramwajowy z powodu tłumów, zebranych na ulicach, wstrzymano już o godz. 8 rano. Wojsko utworzyło szpaler na tych ulicach, któremi postępował kondukt. Prócz tego z górą 30 tysięcy członków stowarzyszeń chrześcijańsko-socyalnych utrzymywało porządek, gdyż siły policyi nie wystarczały, by zapobiedz ewentualnemu tłokowi i nieszczęśliwym wypadkom. Najbardziej obawiano się tłoku na Ringstrasse przed gmachem parlamentu.

Dzięki zarządzeniom prezydenta dra Pattaia, porządek na rampie jak i przed parlamentem był wzorowy. Punktualność była zupełna, a pochód prawie że na minutę wszędzie według programu przybywał.

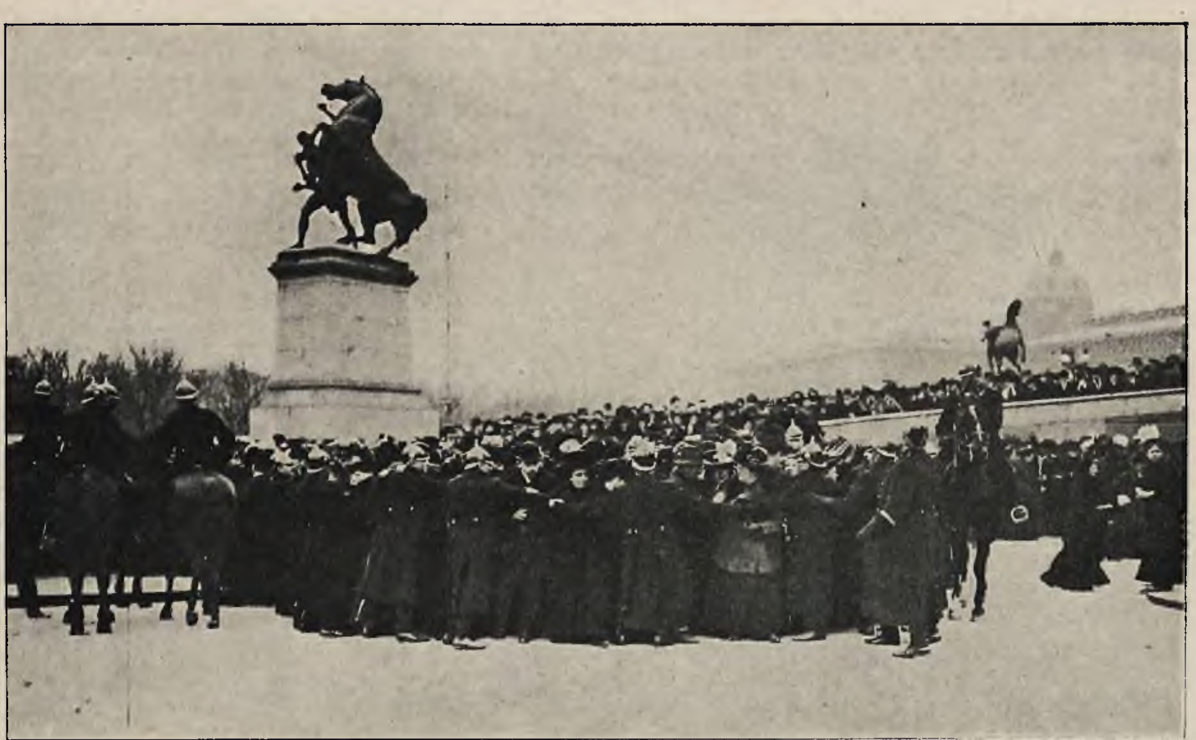
Wielki burmistrz stolicy miał pogrzeb, godny siebie, a tłumny udział ludności jak i reprezentantów wszystkich stanów i wszystkich warstw świadczył najlepiej o popularności, jak również o znaczeniu śp. dra Luegera.



Francuski pilot w Monaco: Lot Rougier'a ponad portem w Monaco.

Francuski pilot w Monaco.

Piloci nie spoczywają ze swymi wzlotami nawet zimą. Przenoszą się na południe i tu korzystają z przecudnej i wymarzonej pogody do wykonywania wzlotów. Widział już Paryż lot hr. Lamberta koło wieży Eiffel, Latham bujał ponad Berlinem,



Zgon burmistrza Wiednia: Natłok publiczności przed halą ratuszową w dniu pogrzebu.

niedościgniony Blériot przeleciał po przez kanał La Manche z Francyi do Anglii, za ragnął i Rougier lotu sensacyjnego. Lot taki postanowił wykonać w Monaco, gdzie każdego czasu znajduje się dość osób bogatych, gotowych do zapłacenia nawet wysokiego honoraryum za niezwykłą emocyę.

Za teren lotu obrał odważny pilot morze, roztaczające się u stóp tej wytwornej rezydencyi książąt Monaco. Lot jego między laznrem nieba a falami morza środziemnego należał do jednych z najwspanialszych. Ludność, obsiadłszy skaliste wybrzeże, z niezwykłem zainteresowaniem śledziła tego olbrzymiego ptaka, który, zdawało się, że zawisł między niebem a morzem.

Wychodząc z punktu widzenia zawodowych awiatorów, lot ten miał jeden moment, który zasługuje na podniesienie. Dotychczas rozpęd do wzlotu odbywał się zawsze na terenie otwartym. Rougier w Monaco nie miał takiego terenu do wzlotu. Obrał więc jedną z ulic z otwartem wyjściem na morze za miejsce rozpędu Wzlot udał się wspaniale, a znawcy nie mieli dość słów pochwały dla odważnego pilota, który rozpędem, wziętym ze stosunkowo ciasnej i wąskiej ulicy, dał dowód sprawności i pewności, z jaką włada jako kierownik aeroplanu.

Niebezpieczeństwo nowej wojny na Dalekim Wschodzie.

Kraj nadamurski, graniczący z północną częścią Mandżuryi, wraz z pasem nadbrzeżnym od Władywostoku do Nikołajewska, jest obecnie osią, koło której obraca się polityka państw interesowanych na Dalekim Wschodzie. Kraj ten, aczkolwiek niezwykle monotonny pod względem flory, obfituje w wielkie pustynie leśne, których eksploatacya ciągnie w dzisiejszych czasach w te strony tak Japończyków jak i kapitalistów amerykańskich. Ongiś kraj zsyłki dla skazańców, może się stać kością niezgody między Rosyą a Japonią a nawet Ameryką.

Rosya nie może patrzeć ze spokojem, jak coraz bardziej kapitał japoński angażuje się w przedsiębiorstwach leśnych w kraju nadamurskim. Wiadomo bowiem, że ekspanzywna polityka Japończyków po zagarnięciu Korei, która w najbliższych dniach — jak głoszą wieści — ma być przez Japonię anektowaną, zwróci się w kierunku tego kraju, sąsiadującego z Koreą. To też słusznie prasa rosyjska zaniepokojona jest zachowaniem się Japonii, która gorączkowo wzmacnia swą pozycyę na stałym lądzie wschodnich wybrzeży azyatyckich, by tem agressywniej módz następnie wystąpić wobec Rosyi.

Podobnie jak okolice Władywostoku, tak i kraj nadamurski nie jest wolnym od podejrzanych fizyonomii mongolskich, których tropieniem zajmują się liczne patrole kozackie, przeciągające przez przydzielone sobie dystrykta. Ten wzmożony ruch szpiegowski każe przedewszystkiem podejrzewać, że Japonia nosi się z ukrytymi zamiarami, mogącymi spowodować wybuch nowej wojny na Dalekim Wschodzie.



Zgon burmistrza Wiednia: Mowa prezydenta dra Pattai'a (×) przed gmachem parlamentu. 1. Dr. Starzyński, wiceprezydent Izby. 2. Dr. Głąbiński, prezes Koła polskiego.

Tak przedstawiają sytuacyę dzienniki rosyjskie. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że obraz sytuacyi na Dalekim Wschodzie, przdstawiany w prasie rosyjskiej, urabia się na podstawie antypatyi narodowych, wynikłych z racyi klęski, jaką Rosya poniosła w ostatniej wojnie z Japonią. Nie można jednak przeoczyć faktu, iż Japonia, aczkolwiek z jednej strony prowadzi rokowania z Rosyą co do najaktualniejszych spraw Dalekiego Wschodu, z drugiej strony staje się w swych żądaniach jak najbezwzględniejszą i to do tego stopnia, że już i Stany Zjednoczone zaczynają się obawiać, iż w najbliższym czasie wyruguje ona dzięki swej ekspanzywności wpływy amerykańskie nie tylko z Mandżuryi i kraju nadamurskiego ale i z Chin. Wyrazem tych ostatnich obaw Stanów Zjednoczonych były ostatnie doniesienia dzienników nowojorskich o możliwości wybuchu wojny japońsko-amerykańskiej.

Czy w razie wybuchu wojny japońsko-amerykańskiej, która w pierwszym rzędzie byłaby wojną finansową, Japonia znalazłaby na rynku światowym dość środków do prowadzenia kampanii ze Stanami Zjednoczonymi. należy bardzo wątpić. Sytuacya w tym wypadku dla Japonii byłaby niezwykle krytyczną, bo z wojny tej nie omieszkałaby skorzystać w pierwszym rzędzie Rosya. by powetować sobie klęskę i straty z r. 1904 i 1905.

Illustracye nasze przedstawiają aktualne momenty ze stosunków i życia w kraju nadamurskim.



Zgon burmistrza Wiednia: Rydwan ze zwłokami w asystencyi korporacyi studenckich, strzelców mieszczańskich i służby miejskiej.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

13 (Ciąg dalszy).

Nie zwróciłem się jednak do Duncana ani z jedną ani z drugą mową... Miałem na tyle zimnej krwi i nadludzkiej odwagi, iż zdołem mu odpowiedzieć najobojętniejszym głosem:

— Skąd ty o tem wiesz?

...I gdy po skończeniu budżetu Joe Duncan opuścił Filadelfię, by powrócić do Nowego Jorku, życzyłem mu przyjemnej podróży, nie spodziewając się, że nigdy już nie ujrzę tego człowieka żywym.

Po tygodniu otrzymałem znowu wiadomość z Francyi. William zwracał się do mnie wprost ze zniewagami, Marcadian zaś dawał mi klucz do zrozumienia niezgody, jaka z dniem każdym zwiększała się między mą córką Eweliną a synem Joego.

„...Pan nie może pojąć, drogi master Brentano — pisał mi — całej grozy położenia... Ewelina okazała tyle słabości charakteru, iż wyznała swemu mężowi kim jest ten Z..., który dla niej jedynej tylko nie był obcym. Nie mogę wyjawić tego panu w tym liście! Pańskie miłosierne serce rozdarłoby się z żalu wobec takiego zbiegu okoliczności!... Pragnąłbym, by pan jak najprędzej mógł przybyć do Francyi i u uwolnić się wobec Williama od podejrzeń, żeśmy razem zmówili się, by doprowadzić do ślubu Łucyi Weill z tym Z...! To wszystko razem wzięte jest tak straszne, iż pan nie może nawet wyobrazić sobie całego położenia"!

...List wypadł mi z rąk!... Wylewałem obfite łzy nad nieszczęśliwem losem mej córki, widziałem bowiem w swem sercu jej straszne położenie. A więc William wiedział obecnie, że ja, Jonatan Brentano byłem tylko narzędziem w rękach Joego Duncana i rozumiałem teraz jego wyrzuty, podejrzenia i zniewagi.

Ach, jak ściśle i dokładne były wyrachowania króla papierowego! Zemsta męża Nelly Burlington istotnie spadała na jej syna!... W jakiemś przeczuciu widziałem już wszystkie nieszczęścia, jakie nas oczekiwały w przyszłości!

Powziąłem postanowienie... A jeżelibym poszedł za radą Marcadiana?... Zdecydowałem się pojechać do Francyi...

Nazajutrz zawiadomiłem o tem Joego, który się wcale nie sprzeciwił temu. ...Kazałem przygotować swe walizy. Byłem już gotów do odjazdu, gdy nagłe przybycie do Filadelfii Polidora razem z Łucyą Weill, stanęło na przeszkodzie memu zamiarowi.

Filadelfia nie jest miastem uciech. Mogłem przekonać się o tem przez ten rok, który w niej spędziłem... Jest ona brudna, czarna i ponura, lecz zarazem i kolosalna. Czuć tu nieustanną pracę, czuć potężny wysiłek woli ludzkiej!... Każda fabryka jest oddzielnem miastem całem w sobie i wszystkie te mrowiska ludzkie złączone są tajemniczo jedną duszą, duszą siły i wytwórczości, posuniętej do ostatnich granic, przez co Filadelfia tak bardzo wyróżnia się od innych miast Stanów Zjednoczonych.

Cóż zamierzało czynić w tem mieście pozbawionem wszelkich przyjemności, w zimie, gdy mróz dochodzi nierzadko do piętnastu stopni niżej zera, tych dwoje ludzi, oddanych tylko rozkoszy: Teddy i małżonka jego Łucya Weill? To był znak zapytania, jaki zjawił mi się w umyśle zaraz po ich przybyciu... Nie byłem na tyle naiwny, by wierzyć w ich miłość dla mnie, jak to usiłował wmówić we mnie Polidor. Nie widząc przez rok swego syna, byłem zadowolony, że go ujrzałem teraz i chociaż przekonany byłem, iż przyjechali po to tylko, by wyciągnąć znowu odemnie pieniędzy, cieszyłem się jednak z ich przybycia... Polidor opowiadał mi o swych podróżach po Luizyanie, najpiękniejszym zakątku Ameryki, gdzie miał zamiar osiedlić się na stałe... Na twarzy jego i całej postaci malowało się zadowolenie z życia, jakie prowadzi. Łucya stała się jeszcze piękniejszą, niż była. Przepych jakim się otaczała, podnosił jeszcze bardziej urodę i potęgował wpływ, jaki wywierała na mężczyzn. I mimowoli podziwiałem dobór tej pary, nie troszczącej się o życie innych, oddanej tylko swym uciechom, korzystającej ze szczęścia wszystkiemi porami swego ciała, przejętej tylko wynajdowaniem sobie nowych przyjemności. Ich wspólne szczęście miało tylko jedną małą plamę, której nie ukrywali przede mną... Wyjawiali mi ją z cynizmem, który mnie bawił!... Nie myliłem się! Podróż jaką ta młoda para przedsięwzięła do Filadelfii, była podróżą dla interesu i została wywołana nie potrzebami serca lecz kieszeni.

— Drogi master Brentano — wzdychała rozczulona Łucya Weill — chodzi nam tylko o małą drobnostkę!... I dlatego tylko, mój staruszku, iż życie w Nowym Orleanie jest daleko droższe, niż w Bongiral!...·Najgorszem z tego wszystkiego jest to, że dolary tam topnieją w palcach prędzej, niż pięciofrankówki w Paryżu.

— Sto tysięcy dolarów dla was dwojga, moi mali — odpowiedziałem ironicznie — czyni pięćset tysięcy franków dla tego, kto umie rachować.

— Cóż one znaczą te pięćset tysięcy franków! — odrzekła w zamyśleniu Łucya, przymrużając swe piękne oczy, jakby myślami goniła już nowe uciechy.

I puszczała przytem kółka dymu papierowego do góry i wyciągała się rozkosznie na kanapie, przysuwała do Polidora, obejmowała go, pieściła i szeptała miłośnie:

— Z mym ukochanym Teddym zniosłabym najgorszą nędzę! Każdy mi to przyzna!... Czyż nie kochany się najczulej, mój drogi Feddy?... A przecież pan, master Brentano, nie wydaje wszystkich swoich dochodów! Po cóż więc pan przyznał za swego syna Teddy, jeżeli teraz unieszczęśliwia go tak!

— Czy odegraliście już tę scenę przed Joem Duncanem? — zapytałem.

— Z Joem jest co innego! — odparła młoda kobieta!... Joe spłaca mi tylko dług wdzięczności!... Jest to nagroda, którą mi winien! Ocenił ją na tyle... daje więc tyle!... A przytem Joe nie miał nigdy serca... podczas gdy pan!...

Polidor, ukochany Teddy, najdroższy Teddy słuchał z opuszczonem czołem swej przełożonej i przyjmował naiwnie w siebie jad, jaki ten zły demon sączył mu do duszy. Uznałem za odpowiednie rozwiać odrazu ich nadzieje i odpowiedziałem młodej kobiecie delikatnie, lecz stanowczym tonem:

— Pozbądź się, moja mała, daremnych nadziei wydobycia odemnie przez pochlebstwo nowych sum! Wasza pensya jest aż nadto wystarczająca, by żyć bez troski!... Jeżeli jednak tylko w tym celu przybyliście do Filadelfii, to możecie wrócić tam, skąd przyjechaliście!

Łucya Weill odrazu zerwała się po tych słowach z kanapy... Rzuciła na mnie złe spojrzenie, które skaziło jej piękną twarz i nadało jej jakiś wstrętny wyraz! Zakłopotanemu i prawie zawstydzonemu Polidorowi wydała rozkaz:

— Chodź Teddy!... Nie będziemy kisnąć w tej budzie!

Tą budą nazwała mój pałac, w którym byłem najgościnniejszym i najwzględniejszym dla nich gospodarzem, nie ulegającym im jednak bezrozumnie.

Wieczorem po kolacyi oznajmili mi, że nazajutrz wyjeżdżają!... O ile byłem zadowolony z początku widokiem swego syna, o tyle teraz doznawałem prawdziwej ulgi z powodu ich odjazdu. Powiadomiłem Polidora o wypadkach we Francyi, pozostał zupełnie obojętnym na te wiadomości. Stał się obcym dla Eweliny, przestał go interesować los własnej siostry! Stał się obcym dla wszystkiego, co nie było Łucyą Weill. Rzekł mi nawet pewnego razu zupełnie spokojnym tonem:

— Po co się mieszasz do tego, co do ciebie nie należy?... Jesteś najszczęśliwszym z ludzi i po części dzięki mnie! Dobrzebyś się urządził, gdybyś powrócił do Paryża, wsadził palec między drzwi i dał się schwytać!... Jeżelibym miał trochę władzy nad tobą, mój ojcze, rzekłbym ci: „Nie powieneś wracać do Francyi"! I jeżeli moja właśnie wizyta przeszkodziła ci jechać, to przyznasz sam, że przysłużyłem ci się nieco!

Jakiegoż potwornego człowieka zrobiła z niego miłość dla Łucyi Weil!

Następnego dnia otrzymałem depeszę od Marcadiana, która dodała mi wiele nadziei... Stał.się tam doniosły wypadek, który mógł wszystko naprawić, przywrócić Williamowi miłość dla żony, wzbudzić w nim na nowo poczucie obowiązku, rozwiać wszelkie nieporozumienia, usunąć wzrastający między nimi rozłam. Przepojony byłem radością, zdawało mi się, że ten kawałek papieru przynosi mi całe szczęście ludzkie, oddaje pod mą władzę całą przyszłość. Pierś ma napełniała się niezmiernem wzruszeniem, serce me biło w jakiś nowy rytm. Poruszając w swych rękach depeszą Marcadiana, w której donosił mi, że Ewelina wydała na świat „dwoje zdrowych zupełnie bliźniąt, chłopca i dziewczynkę", iż w swych rękach dzierżę zdobyty na nieprzyjacielu sztandar. Upity radością bez granic powtarzałem bezustannie dwa imiona: Piotr i Zuzanna, które wydawały mi się najpiękniejszemi.

Wydawałem gorączkowo rozporządzenia do wyjazdu, odłożonego z powodu wyjazdu syna, gdy nagle do salonu, w którym się znajdowałem, wszedł Polidor. Zwróciłem się ku niemu. Był zupełnie blady... Chwiał się na nogach, jak człowiek pijany... Opadł na kanapę, na której poprzedniego dnia wyciągała się rozkosznie Łucya... Patrzył na mnie tępo, błędnemi oczami, z zmarszczonemi brwiami... Zdawało mi się, że widzę Polidora udającego szaleństwo w celi domu zdrowia Williama; zdawało mi się, że widzę i widziałem istotnie każdy rys twarzy Z... z celi nr. 13 w domu obłąkanych... Z gardła jego ściśniętego jakiemś wzruszeniem, dobywał się z trudem głos...

— Wiesz — rzekł mi — ty musisz wracać do Francyi!... Słyszysz, musisz wrócić tam! I nie masz ani jednej chwili do stracenia! Jedź... w przeciwnym razie niewiadomo...

Te dziwne słowa wymawiane w tej chwili, zaniepokoiły mnie... Poprzedniego dnia Polidor odciągał mnie od tej podróży! Polidor nie mógł jeszcze wiedzieć o depeszy Marcadiana! Cóż więc znaczyło obecne jego naleganie?... Dlaczego głos jego tak drży, skąd ta bladość jego twarzy, skąd ten prze strach w oczach?

Podszedłem ku niemu i zapytałem:

— Wytłómacz się, Polidorze! Co się stało?

— Powtarzam, iż musisz jechać... natychmiast... w przeciwnym bowiem razie nie odpowiadam za nic!...

Ruchem ręki odgarnął włosy z czoła...

— Nie odgadujesz?... Nie domyślasz się, dokąd ja zaszedłem?... Ach, gdybyś ty wiedział, kim jest moja żona Łucya!

— Czy ona cię tu przysyła?

Roześmiał się jakoś dziwnie na to pytanie, odkrywając dwa rzędy zdrowych zębów młodego wilka, człowieka oddanego swej namiętności — i odparł:

— Nie! To nie Łucya mnie przysłała!... Nie! naodwrót!... Nie zmuszaj mnie, bym ci powiedział, kto!...

I nagle w jakimś wybuchu nerwowego płaczu, biedny chłopiec opadł bez sił na fotel i głosem przerywanym spazmatycznem łkaniem szepnął:

— ... To mama!... Nie rozumiesz?... To straszne!... Posiadasz miliony, a odmawiasz trochę pieniędzy Łucyi!... Jesteś tak głuchy i nieczuły jak mama, gdy mi odmówiła pięciu luidorów, których żądała odemnie Łucya Weill!... Tak, to Łucya mnie tu przysyła... tak jak i wtedy!... Ja nie wiem, jak to się dzieje... Ona mi rozkazuje, a ja jestem tylko posłusznem jej narzędziem!

I jąkał się dalej przerażony swemi własnemi słowami.

— Idź stąd, mój ojcze, idź!... Nie jestem już panem siebie... nie rządzę sobą!

— Ach, ty nędzniku! — zawołałem, stając przed nim.., — Ty masz duszę zbrodniarza... i ty śmiałbyś... i ty byłbyś...

— To nie ja, to ona!... Ja ci wyznaję wszystko!... Coś mną kieruje, jakaś siła nieznana we mnie siedzi!... Ja nie wiem nic!... Wiem tylko jedną rzecz!... ona rządzi memi uczuciami... panuje nad mą wolą... Rozumiesz teraz?

— Tak, pojmuję wreszcie — odparłem — że żona twa jest twym złym duchem i że nie unikniesz swego losu...

— Tak, to jest to!...

— Widzę, że uzbroiła twą rękę, by Teddy zabił swego ojca, jak Polidor zabił z powodu niej swą matkę!

— Tak jest! — potwierdził jeszcze raz, opuszczając ze wstydu głowę.

— Rozumiem jasno, że dziewczyna ta nie waha się w wyborze między pięćdziesięcioma tysiącami dolarów pensyi a pół miliardem mego testamentu... i chce mnie zgładzić, abyś jak najprędzej oddziedziczył to po mnie.

— Tak, słusznie mówisz! — potwierdzał bezzwładnie Polidor.

— Ach, podłe i nikczemne dziecko! — zawołałem, drżąc z oburzenia. — Słyszę jeszcze w uszach swych słowa, jakie wypowiedziałeś po zabóstwie matki: „Czyż samobójstwo moje byłoby dostateczną karą za zbrodnię, jakiej się dopuściłem?... Tak, masz racyę, Polidorze!... Twoją karą jest Łucya Weill... i teraz zaczyna się dla ciebie ta kara!

— A więc — zapytał głosem zupełnie naturalnym, podnosząc do góry czoło — nie chcesz podwoić naszej pensyi?... Odmawiasz mi pięćdziesięciu tysięcy dolarów, jak matka odmówiła mi pięciu luidorów?...

Ręka jego podniosła się w jakimś ruchu niedokończonym, potem opadła bezwładnie...

— Dobrze — rzekł. — Spełniłem swój obowiązek, przestrzegając cię... Idź stąd stąd, mój ojcze! Błagam cię, jedź!... Jest to silniejsze odemnie! Ty nie wiesz, jaką jest Łucya Weil... Pojutrze odchodzi statek niemiecki z Nowego Jorku... Zaklinam cię, odjedź nim... Nie można wiedzieć, co się stanie!...

Wypędzając od siebie Teddy, przybitego tem haniebnem wyznaniem, spytałem go jeszcze:

— A wy? dokąd wy jedziecie?

Znowu uczynił jakiś bezładny ruch rękami i nie odwracając się ku mnie, odrzekł:

— Nie wiem... Zapewne wybierzemy inny cel!

Polidor dobrze był poinformowany.

Pojutrze miał odchodzić od Cherburga statek niemiecki. Zamiast czekać na statek transatlantycki Towarzystwa francuskiego, to znaczy aż do końca tygodnia, wolałem zatelefonować natychmiast do Nowego Jorku, by zamówić sobie kajutę na *Demckerlandzie.* Chciałem jak najprędzej ujrzeć Ewelinę i Williama i załagodzić nieporozumienie, o jakiem pisał mi mój szwagier Marcadian!... Chciałem jak najprędzej ten wstrętny i ohydny obraz, jaki przedstawiał sobą Teddy z Łucyą, zamienić na łagodny i pocieszający widok Eweliny z Williamem, siedzących nad kołyską dwojga swych bliźniąt...

Myśl o tych dwojga nowonarodzonych na ziemi francuskiej, Piotrze i Zuzannie, łagodziła zmorę, jaką był dla mnie w Nowym Świecie Polidor wraz ze swą żoną.

Cały następny dzień zeszedł mi na przygotowaniach i wysyłaniu kufrów do Nowego Jorku... Polidor i Łucya opuścili pospiesznie Filadelfię, nie wyjawiając mi, dokąd jadą, czem zresztą wcale się nie interesowałem. Starałem się zatrzeć w swej pamięci scenę, jaką miałem przed swemi oczami, gdy ten nędznik stanął przedemną w postawie, w jakiej onego czasu zjawił się przed swą matką!... Usiłowałem wytłómaczyć sobie jego postępowanie i nie widzieć w nim zabójcy, jakim mimo wszystko był!... Nie! to niemożliwe, by wszystko, co do tej pory uczyniłem dla niego, było daremnem!... Niemożliwem było, by moja awantura powróciła znowu do tego samego punktu, od którego się zaczęła, by przyczynić się do tego miało pomieszanie umysłu tego nieszczęśliwego chłopca, lub nieroztropność mojej biednej córki, zbyt ufającej miłości męża!... Odemnie tylko zależć teraz będzie, bym nie dopuścił do nowych niebezpieczeństw i pokonał te, które już powstały.

Drugiego dnia po odjeździe Polidora, gdy już zamierzałem opuścić Filadelfię ekspresem o dziewiątej godzinie, zostałem nagle wezwany do telefonu. Widzę się jeszcze w kostyumie podróżnym, jak stojąc przy swem biurku, wydaję ostatnie rozporządzenia swym sekretarzom!... Dzisiaj jeszcze, po upływie już czterech lat od tej strasznej chwili, brzęczy mi w uszach urywany dzwonek aparatu telefonicznego.

Schwyciłem za słuchawkę.

— Hallo!... Jonatan Brentano?...

— Hallo!... Tak, to ja we własnej osobie... Hallo! to ja, osobiście!... Może pan mówić!

Nie mogłem przypisać szmerom w aparacie drżenia głosu, jaki płynął do mnie z drugiego końca drutu telefonicznego... Głos ten był bardzo wzruszony... Zdołałem rozpoznać te słowa:

— To ja... John Fellow... sekretarz... Joego Duncana!...

— Hallo! dobrze, słyszę!... Niech pan mówi!

— Master Joe...e...e... Duncan... został... za... zabi..

— Co pan mówi?... Hallo!... Nie rozumiem!...

— Hallo!... Za... zabity!...

Wieść ta uderzyła mnie w skronie jak potężne młoty stalowe w fabryce... Zdawało mi się, że głowa ma pęka... że oczy wyskakują ze swych orbit! Palce me zacisnęły się kurczowo koło słuchawki, tak, iż nie mogłem ich rozprostować... Drżącym, jak gdybym zduszonym głosem, powtarzałem bezmyślnie...

— Za... zabity!... kiedy!... Przez kogo?... Jak?... Hallo!... Niech pan odpowiada!... Słucham pana!... Przez kogo?... Przez kogo?...

Odczuwałem doskonale wahanie się Johna Fellowa. Drżenie głosu w telefonie wzmogło się jeszcze bardziej...

— Je...den... cudzoziemiec!... Potrzebna!.. obecność pańska!... Niech pan jedzie... Zaraz... pierwszym kuryerem.

— Fellow! proszę mówić, kto zabił!... Krzyczałem ze wszystkich sił do telefonu gniewnym głosem!...

Sekretarz wahał się jeszcze i odpowiedź jego dobiegła mnie bardzo niewyraźnie:

— Pewien młody człowiek... którego pan zna dobrze.

— Jak się nazywa?

— ...Ja... nie wiem, master Brentano... Ja... ja nie mogę!...

Wyprowadzony z cierpliwości zakląłem:

— Ach, podły Teddy... to Teddy!...

...Komunikacya została przerwana.

Wstrząsany konwulsyjnem drżeniem, musiałem wyglądać strasznie, gdyż sekretarze moi zaniepokoili się, podnosząc głowy od maszyn do pisania:

— Co panu jest?

Schwyciłem swą torbę z najważniejszemi papierami i bez jednego słowa, z zębami zaciśniętemi z bezsilnej wściekłości, wybiegłem jak szalony z domu i wpadłem na dworzec w chwili, gdy wjeżdżał kuryer. Napróżno starałbym się przypomnieć sobie wrażenia, jakie mną miotały przez cały przeciąg dłużącej się nieskończenie jazdy z Filadelfii do Nowego Jorku!... Przytomną była w mej głowie jedna tylko myśl, jedna jedyna i jak rozpalonem żelazem piekła mi głowę: Polidor zamordował Joego Duncana!...

Kiedy? Jak?... Biedny John Fellow nie miał odwagi wyznać mi tego!... Zresztą ja jeden tylko zapewne mogłem znać pobudki tej zbrodni, gdyż zbrodniarz zdradził się przedemną tem tajemniczemi słowami: „Wybierzemy inny cel!..." Czy został już aresztowany? Czy wspólniczka jego Łucya Weill została również aresztowaną? Wszystko to były tylko zapytania bez odpowiedzi, ponieważ nie miałem tyle przytomności umysłu, by dowiedzieć się tego od John Fellowa!...

Gdy przybyłem do Nowego Jorku, John Fellow, do którego telegrafowałem z jednej z poprzednich stacyi, czekał na mnie na dworcu... Skłonił mi się uniżenie i rzekł bezdusznym głosem:

— Ach, master Brentano!... To niepojęte!...

Byłem jak szalony!... Nie przyszło mi nawet na myśl zapytać go o nowe szczegóły... Samochód, który pędził całą siłą, wiózł nas do pałacu na 34 avenue. Za nami jechał drugi samochód, który zatrzymał się równocześnie z naszym; wysiadło z niego dwóch panów, którzy przyglądaniem się mi zwrócili mą uwagę w sypialnym wagonie. Zauważyłem zaraz, choć nie przykładałem do tego żadnego znaczenia, iż zamienili oni porozumiewawcze spojrzenie z sekretarzem.

Przy zwłokach milionera wystawionych na widok w wielkiej sali, zamienionej na wspaniałą, gorejącą tysiącami świec kaplicę, zebranych już było kilka osób, należących prawdopodobnie do policyi... Przy przejściu mem usuwali mi się z wielką uprzejmością, którą przypisywałem poważaniu, jaką musieli mieć dla wspólnika i przyjaciela króla papierowego. Grobowe milczenie panowało w sali i widocznem było, jak ci ludzie porozumiewali się spojrzeniem, patrząc na malujący się na mej twarzy ból i przerażenie. Joe i po śmierci zachował na swem obliczu wyraz powagi i władzy, który wywarł na mnie wielkie wrażenie... Zgiąłem kolano i klękając przy nim, ucałowałem nabożnie jego bezwładną rękę.

Prokurator bacząc na wszystko uważnie, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Nie wiele cierpiał. Padł odrazu rażony kulą w samo serce, gdy siedział przy swem biurku, jak jenerał na polu walki!... Zabito go z jego własnego rewolweru, aby wzbudzić przypuszczenia samobójstwa!

— Ach! — szepnąłem drżącym głosem — ...zabójca został już aresztowany?

— Zabójca!... domniemany... działali tu bowiem i wspólnicy.

— I wspólniczka?

— Dlaczego pan mówi wspólniczka? — zapytał prokurator, cofając się o krok w tył...

Potem biorąc mnie poufale pod rękę, dodał:

— Master Jonatan Brentano!... ja powiedziałem wspólnicy... Niech pan nie trwoży się i nie tłomaczy sobie źle mych słów!... Pański syn adoptowany, Teddy i żona jego, urodzona Lucya Weill są już obecnie pod kluczem, sędzia jednak śledczy nie zadowala się tem!...

— Teddy i Łucya! — szeptałem przybity — ...! pan jest pewny, że to Teddy dopuścił się tej przerażającej zbrodni?

— Tak pewny, jak i pan master Brentano!

— Jak ja? — zdziwiłem się czyniąc przeczący ruch ręką.

— Pan jest bardziej o tem przekonany, niż my, szanowny obywatelu!

— Cóż to znowu! — zawołałem — co to ma znaczyć?

I rzucając okiem dokoła siebie, spostrzegłem, iż ludzie którzy mnie okrążali, stanowili obecnie zwarte koło i spoglądali na mnie wrogo, jak tych dwóch nieznajomych z pociągu...

— To, master Brentano... — rzekł zimno prokurator — iż pan właśnie jest głównym oskarżycielem swego adoptowanego syna Teddy, domniemanego zabójcy Jego Duncana.

— Ja! — przeraziłem się... — Czy pan stracił zmysły!

— ...I stał się pan nim dlatego, by oskarżając Teddy, oczyścić się...

— Ja, oczyszczać się?... od czego? — szepnąłem przestraszony.

— Od wspólnictwa w tem zabójstwie, co śledztwo jaśniej panu wykaże, niż pan się spodziewał! — zakończył oschłym tonem...

I z wielkiem namaszczeniem dodał jeszcze słowa, które mnie zdumiały.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Musisz jechać natychmiast... w przeciwnym razie nie odpowiadam za nic.

Nowa opera polska.

Skromny nasz, jak dotąd dorobek w zakresie literatury muzycznej a zwłaszcza operowej, wzbogacił znany zaszczytnie muzyk, dyrektor konserwatoryum we Lwowie, Mieczysław Sołtys, dziełem niepospolitej piękności i wartości p. t. „Opowieść ukraińska Marya, sceny liryczne z poematu Malczewskiego".



Nowa opera polska: Dyrektor Mieczysław Sołtys, kompozytor „Opowieści ukraińskiej".

Jak już z tytułu widać, kompozytor nie tworzył opery we właściwem tego słowa znaczeniu, zdając sobie sprawę z tego, że poemat Malczewskiego, choć pełen piękności i zalet, nie jest z powodu braku akcyi odpowiedniem librettem. Zillustrował więc tylko utwór Malczewskiego muzyką i pod tym względem z zadania wywiązał się znakomicie, dostrajając wartość muzyki do wartości poematu.

W muzyce Sołtysa przebija przedewszystkiem jako pierwiastek zasadniczy melodya rodzima Słuchając jej, zda się, że cała melancholia stepów ukraińskich idzie ze sceny ku widzom, lub że groza ustawicznych wówczas wojen i bojów, groza strasznych, wstrząsających wypadków drga w powietrzu. To też wrażenie dzieła Sołtysa jest bardzo wielkie i niezmiernie dodatnie.

„Opowieść ukraińską" wystawił teatr lwowski po raz pierwszy w ubiegłym tygodniu, jako drugą polską premierę operową. Artyści, reżyserya, orkiestra uczynili wszystko, by dziełu Sołtysa zapewnić jak największe powodzenie. Cel osiągnięto, gdyż publiczność, wypełniająca widownię do ostatniego miejsca, przyjęła „Opowieść ukraińską" z ogromnym entuzyazmem, darząc i kompozytora i wykonawców oklaskami i kwiatami.

Z wykonawców na pierwsze miejsce wysunęli się pp. St. Szymanowska (Marya). J. Mann (Wacław), Skibińska (pacholę) i Okoński (Miecznik). Pełne uznanie zyskał również kapelmistrz opery lwowskiej p. Stermicz, który wystudyował i przygotował dzieło Sołtysa bardzo starannie. Zauważyć zaś należy, że orkiestra ma tu bardzo ważne zadanie. Także wystawa staranna i piękne dekoracye podobały się ogólnie, co jest zasługą artysty malarza Wygrzywalskiego, inspektora sceny lwowskiej.

Proces fałszywego dygnitarza perskiego.

Mania dostojeństw prowadzi zazwyczaj do tego, że obciążony nią osobnik zaczyna sam sobie nadawać tytuły i godności. Tak było z Khanem Kolischerem, perskim dygnitarzem w Wiedniu, którego sensacyjny proces zakończył się przed tygodniem w Wiedniu. Był to jeden z niezwykle sensacyjnych procesów, jaki wyciągnął na jaw różne funkcye i sprawki tego dygnitarza perskiego w czasie jego kilkuletniego pobytu w Wiedniu.

Kolischer przyjmowany był na balach dworskich, obracał się w kołach najwyższej arystokracyi i w kołach wysokich dygnitarzy wojskowych armii austryackiej, a dla wielu oficerów austryackich miał nawet uzyskać od rządu perskiego ordery. W końcu między grupą oficerów wojskowych a Kolischerem przyszło do zatargu, który oparł się o ławy



Nowa opera polska: Finał ostatniego aktu „Opowieści ukraińskiej".

sądu wiedeńskiego. W ciągu procesu wyszły na jaw fałszerstwa Kolischera, bo rząd perski na zapytanie doń wystosowane, nadesłał odpowiedź, iż liczne tytuły i godności, posiadane przez Khana-Kolischera, jak i ordery, którymi się chętnie obwieszał, są sfałszowane.



Fot. M. Münz, Lwów.

Nowa opera polska: Po generalnej próbie opery: Na scenie pp.: J. Mann (Wacław), dyr. Stermicz, dyr. Sołtys, reżyser Floryański, insp. Wygrzywalski. dyr. Heller, Okoński (Miecznik) i St.Szymanowska (Marya).

Proces o obrazę grupy oficerów austryackich, zakończył się po 2 tygodniowej rozprawie zasądzeniem Kolischera na 4 miesiące aresztu z zamianą na 4000 koron grzywny.

Jaskinia hazardu.

W prześlicznej, pełnej czaru i uroku, bogato przez przyrodę wyposażonej okolicy nad morzem Śródziemnem, między Genuą a Niceą, leży księstewko Monaco, malutkie, bo zaledwie 21 i pół klm² obszaru zajmujące, o ludności dochodzącej 15.000, a jednak znane dobrze w całem świecie i ściągające turystów ze wszystkich stron.

Dzieje się to raz dlatego, że okolica Monaco i jego stołecznego miasta tej samej nazwy jest istotnie przecudna i ma klimat ogromnie miły i zdrowy, tak że ludzie piersiowo chorzy bardzo chętnie i z wielkim pożytkiem dla zdrowia tam przebywają, a powtóre dlatego, że tuż przy stacyi kolejowej Monte-Carlo, mieści się słynne a raczej osławione kasyno z domem gry, gdzie zupełnie jawnie i pod protektoratem władz uprawia się gry hazardowe, głównie ruletę oraz *trente et quarente*. I właśnie ta swoboda hazardu wabi ludzi ze wszystkich stron świata, wabi nadzieją zrobienia w łatwy sposób majątku.

Kasyno wspomniane należy do prawdziwych majstersztyków architektury i urządzone jest z niebywałym komfortem a nawet przepychem. Najdokładniejsze opisy nie mogą dać należytego obrazu tych wszystkich ich piękności, jakie zarząd kasyna hojnie w obrębie swych murów porozsiewał.

Ale nie wspaniałe, i olbrzymie sale, nie klimat zdrowy i powietrze miłe, nie roślinność egzotyczna ni szum pobliskiego morza, ściąga do Monte Carlo te tłumy publiczności międzynarodowej, które się tam przez cały rok widuje. One przybywają tam, gnane żądzą złota, żądzą pieniędzy, trawione gorączką gry i hazardu.

A zarząd kasyna robi wszystko, by w swe sieci ściągać jak najwięcej naiwnych. Reklama wszechstronna idzie mu na rękę a zwłaszcza na wiosnę roją się pisma we wszystkich wydawane językach od anonsów, zachwalających okolice Monte-Carla.

Obecnie urządzono w kasynie gry nową, wspaniałą salę, której urządzenie jest jeszcze piękniejsze, jeszcze bogatsze od dotychczasowych. Już ten fakt, iż kasyno może takie ogromne sumy wydawać na urządzenie wewnętrzne, dowodzi, jak olbrzymie są jego dochody, jakie szalone zyski ciągnie z namiętności ludzkich.

Nowa sala przeznaczona jest na grę w ruletę, nazwaną tak od aparatu, który wskazuje wygraną i przegraną. Aparat taki składa się z koła ruchomego z numerowanymi przedziałami; przy krawędzi koła toczy się kulka, a numer, przy którym ona się zatrzymuje, wskazuje wygraną. Grający stawiają na pojedyncze numery, na ich szeregi całe, dalej na czerwony lub czarny kolor *(rouge et noir)*, na parzysty i nieparzysty *(pair et impair)*.

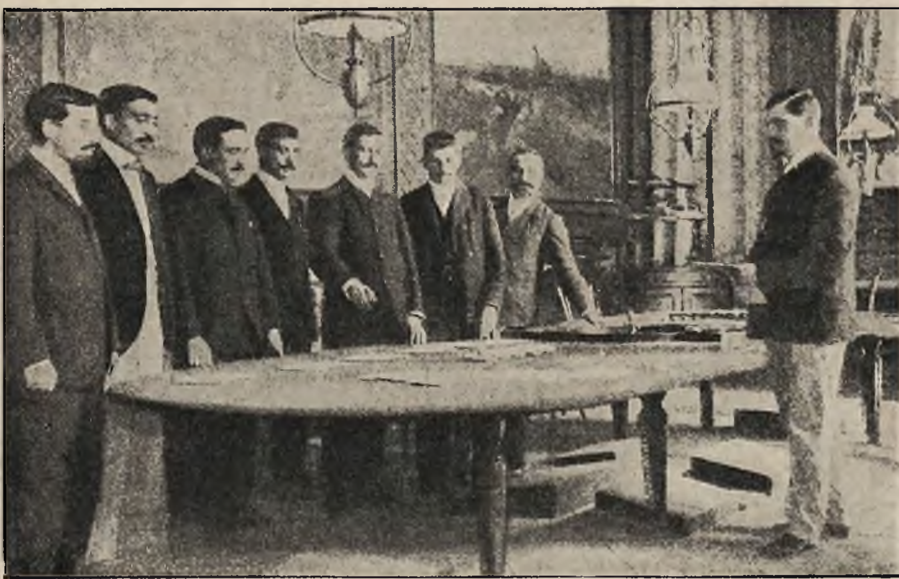
Grą kierują, wygrane wypłacają a przedewszystkiem ściągają stawki przegrane, funkcyonaryusze



Jaskinia hazardu: Nowa sala gry w ruletę w kasynie w Monte-Carlo.

kasyna, zwani krupierami. Do zawodu tego przygotowują się oni dłuższy czas, to też funkcye swe, przy pomocy grabek o długich laseczkach, wykonywują z ogromną wprawą.

Oczywista rzecz, że z kasyna bardzo rzadko wychodzi ktoś z wygraną. Bo choć zdarza się od czasu



Jaskinia hazardu: Szkoła krupierów.

do czasu, iż ktoś jednego dnia czy nawet w ciągu całego sezonu ma nadzwyczajne szczęście i wygrywa większe sumy, to przecież po pewnym czasie wraca on do Monte Carlo, aby zostawić nie tylko wygrane poprzednio pieniądze ale i swój majątek. Bo nerwy ludzkie się wyczerpują, zimna krew i spokój człowieka opuszczają, zwłaszcza gdy zaczyna przegrywać, maszyna zaś, która o wygranej rozstrzyga, jest zawsze spokojna, zawsze zimna i stąd ma znacznie większe szanse.

To też kasyna w Monte-Carlo powinni wszyscy unikać, zwłaszcza ci, którzy hazard uprawiać lubią.

Przyszły władca Hiszpanii.

Świetne były niegdyś czasy królestwa hiszpańskiego i panującej w niem dynastyi. Państwo to



Proces fałszywego dygnitarza perskiego: Khan-Kolischer, skazany na 4 miesiące aresztu.

było najpotężniejszem i największem mocarstwem w świecie. Słusznie też mówiono o niem, iż w granicach jego posiadłoś i słońce nigdy nie zachodzi. Obejmowało ono bowiem nie tylko prowincye europejskie ale i amerykańskie.

Z czasem jednak potęga Hiszpanii poczęła chylić się ku upadkowi i dziś państwo to nie odgrywa w koncercie dyplomatycznym Europy prawie żadnej roli. Upadek przemysłu i handlu, upadek sztuk i nauki, ogólne ubóstwo wśród ludności, a deficyt w budżetach państwa, oto smutny obraz obecnego stanu Hiszpanii. Rządzący w niej obecnie Alfons XIII, potomek dwu wielkich historycznych rodów, burbońskiego i habsburskiego, jest przejęty niewątpliwie najlepszemi chęciami i pragnąłby swemu ojczystemu krajowi przywrócić dawną świetność.

Panuje nad królestwem hiszpańskiem dopiero od 1902 roku, wstąpiwszy na tron jako młodzieniec, zaledwie 17 lat życia liczący. Niedawne to jeszcze, bardzo niedawne czasy, kiedyśmy władcę Hiszpanii oglądali na licznych zdjęciach fotograficznych, jako młodzieńca o dziecinnej niemal twarzy. Lata jednak szybko płyną, więc i w życiu młodocianego Alfonsa XIII duże zaszły w ciągu niedługiego okresu zmiany. Dziś ten młodzieniaszek z przed lat paru jest ojcem dwu zdrowych i doskonale się rozwijających chłopaków, z których starszy liczy trzy lata i jako przyszły władca Hiszpanii nosi tytuł księcia Asturyi. Młodszy, dwuletni, nosi miano infanta Don Jaime.

Rycina nasza przedstawia króla Alfonsa XIII z jego pierworodnym synem, następcą tronu, w mundurze wojskowym. Młodziutki ten bowiem wojak jest już od urodzenia wysokim dygnitarzem armii hiszpańskiej, słusznie też przywdziewają go w uniform żołnierski.



Przyszły władca Hiszpanii: Król Alfons XIII. ze swym pierworodnym synem, księciem Asturyi.

Burzliwy strajk w Filadelfii.



Burzliwy strajk w Filadelfii: Aresztowanie strajkujących za obrzucanie wozów tramwajowych kamieniami.

Ameryka, to centrum nowoczesnej masowej emigracyi europejskiej, a także azyatyckiej, jest typowym krajem wielkiego przemysłu kartelowego, który w całym świecie znany jest pod nazwą

przemysłu amerykańskiego. Tu też na tle zatargów ekonomicznej natury przychodzi między pracodawcami z jednej strony, a robotnikami z drugiej do niezwykle częstych zatargów, które przybierają rozmiary, zgoła w Europie nieznane. Przedsiębiorstwa poszczególne zatrudniają często po kilka tysięcy robotników, a jeśliby kto chciał w społeczeństwie amerykańskiem przeprowadzić segregacyę klasową, to znajdzie w niem dwie i tylko dwie klasy, nadające ton całemu życiu społecznemu w Ameryce północnej. Jedna klasa to robotnicy, a druga to milionerzy, właściciele fabryk, kopalń i innych zakładów przemysłowych.

Walka z milionerami nie jest łatwą, aczkolwiek Amerykanie sami dobrze rozumieją, iż prędzej, czy później będą musieli stoczyć decydującą kampanię z tymi władcami złota. Jak ciężką jest taka walka, przekonał się na sobie były prezydent Stanów Zjednoczonych, Roosevelt. Mimo, że w rękach jego spoczywała najwyższa władza, jaką Stany pojedynczemu człowiekowi nadać mogą, nie udało mu się pokonać pana trustu naftowego, miliardera Rockefellera, który utrącał kogo chciał, trząsł całą giełdą naftową, dopuszczał się, wiedziony manią konkurencyjną, takich nadużyć, że zwykły śmiertelnik za nie dawnoby się już był znalazł za kratkami.

To też i wszystkie strajki w Stanach Zjednoczonych czeka z góry dający się przewidzieć los. Milionerzy amerykańscy wolą raczej stracić kilka milionów dziennie, niż uledz wobec żądań i buntu strajkujących. Świeżym tego przykładem jest głośny w całym świecie strajk personalu tramwajowego w Filadelfii. By poprzeć żądania tramwajowców, zastrajkowali wszyscy inni robotnicy w Filadelfii w liczbie 75.000. Przyszło do rozruchów, zniszczenia znacznej liczby wozów tramwajowych i budynków towarzystwa tramwajowego, tak że musiano wezwać pomocy milicyi, celem stłumienia tej formalnej rewolucyi. Przedsiębiorstwo nie ustąpiło ani na jotę strajkującym i odrzuciło nawet interwencyę rady miejskiej. Zwrócono się więc do prezydenta Tafta z prośbą, by on przyjął rolę pośrednika między obu, spór wiodącemi stronami.



Burzliwy strajk w Filadelfii: Policya konna, rozpędzająca strajkujących robotników.



„Trylogia dubrownicka“ na scenie krakowskiej: Scena z trzeciej części trylogii p. t.: „Na tarasie“: pp.: Czarnecka, Solska, Wysocka i Jednowski.

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

10

Wziąłem flaszeczkę z gumą arabską i zacząłem uważnie badać resztki tego listu, by skleić je w należytym porządku. Gdy już nakleiłem dwa kawałki, spostrzegłem, że dwa następne winny się znajdować właśnie między temi. Jeszcze raz obejrzałem je starannie i wreszcie zlepiłem wszystkie tak, iż można było przeczytać oddzielnie wiersze.

— Dobrze pan to zrobił — rzekł Grys, gdym mu pokazał złożony cały arkusz — teraz jednak niech się pan mnie o nic nie pyta, a postara się sam wszystkiego domyśleć.

— Zgoda — odparłem. — Zdaje mi się, że list ten napisano na papierze firmowym jakiegoś domu handlowego, jest tu bowiem słowo „Dom“. Co zaś do czasu kiedy go pisano, to widzę tu litery „rz“ — co prawdopodobnie oznacza „marzec“. Autorem zaś jego jest Henryk Klawering — rzekłem na zakończenie.

— Na czem pan opiera swe twierdzenie?

— Zaraz panu dowiodę wszystkiego.

Wziąłem bilet, podpisany własnoręcznie przez Klaweringa i położyłem go obok sklejonego listu. Nie mogło tu być żadnej wątpliwości, że podpis na bilecie i na liście H... Kl... kładła jedna i tasama ręka.

— Tak, to pisał Klawering — powtórzył Grys bez żadnego jednak zdziwienia.

— A teraz zajmijmy się treścią tego listu — rzekłem.

I zacząłem czytać po kolei, zatrzymując się w tych miejscach, gdzie litery były już starte:

„Wielce... pańska kuzynka... wychow... godna ...ości i zauf... każdego mężczyzny ... piękn... i czaruj... niema jednak róży ... kolców i ta ró... nie stan... tku... jest ona w stanie..... kać... i mę... dowierzał jej... nie wierzy... spoj... piękn... i okrut... twarz. H... Kl...

— Wygląda to tak, jakby piszący oskarżał o co jedną z kuzynek Lavenforta — rzekłem i sam przestraszyłem się swych słów.

— Dlaczego? — zapytał Grys.

— Słyszałem już bowiem o tym liście. Zawiera on rzeczywiście skargę na jedną z kuzynek zamordowanego i napisał go Klawering.

Opowiedziałem mu przytem szczegółowo swą rozmowę z Herwelem z powodu tego listu.

— Aha, a więc Hervel przemówił. Sądziłem już, że złożył przysięgę na milczenie.

— Przez cały ten tydzień widywałem się codziennie z Herwelem, musiał więc do mnie coś mówić.

— I utrzymuje on, że czytał list, napisany do nieboszczyka przez Klaweringa?

— Tak, lecz udaje, że zapomniał treści listu.

— Te urywki jednak przypomniałyby mu wszystko.

— Lepiej nie wspominać mu, że list ten mamy — poradziłem; — o ile to możliwe, należy obywać się bez obcej pomocy.

— Zgadzam się z panem — odrzekł Grys dość sucho.

Wziąłem się znowu do odczytywania listu i po dość długich wysiłkach zdołałem wreszcie dojść do następującego rezultatu:

„... Dom marzec 1876 r.

„Wielce Szanowny ... pańska kuzynka, wychowana przez pana, godna miłości i zaufania każdego mężczyzny. Jest ona piękna i czarująca, niema jednak róży bez kolców i ta „róża nie stanowi wyjątku: jest ona w stanie „...kać i męczyć ... dowierzał jej. Jeżeli pan „nie wierzy, proszę spojrzeć ... piękną i okrutną twarz. Henryk Klawering“.

— To nam wystarczy — rzekł Grys, gdym mu przeczytał rezultat swej pracy — treść tego listu zupełnie wyraźna, a myśmy tego tylko potrzebowali.

— Ton tego listu nie bardzo pochlebnie świadczy o osobie, o której jest w nim mowa. Według wszelkiego prawdopodobieństwa autor tego listu został ciężko przez nią obrażony, mimo iż podnosi jej piękność i inne zalety.

— Tak, zdarza się nieraz, że następstwem podobnej obrazy bywa przestępstwo.

— Zdaje mi się, że wiem, na czem polegała ta obraza — odpowiedziałem — na razie jednak nie mogę nic więcej panu dodać, dopóki nie znajdę dowodów, że przypuszczenia me są słuszne.

— A więc list ten nie okazał się brakującem ogniwem w łańcuchu różnych dowodów?

— Nie, daje on mi jednak cenne wskazówki.

— W każdym razie list ten musiał mieć wielkie znaczenie, w przeciwnym bowiem razie miss Eleonora nie narażałaby swej czci, zabierając go z biurka nieboszczyka i...

— Niech pan się wstrzyma — zawołałem — dlaczego pan twierdzi stanowczo, że miss Eleonora wzięła ten list z biurka nieboszczyka?

— List ten znaleziono razem z kluczem w kominku i był on, jak i klucz, powalany krwią.

Pokiwałem tylko głową: Eleonora mówiła mi, że dokument ten zniszczyła zupełnie.

— Dlaczego pan kiwa głową? — spytał Grys.

— Ponieważ nie przekonał mnie pan.

— Jakto?

— Po pierwsze Fobbs nie wspominał wcale, że widział u niej w ręku papier, gdy się nachylała nad kominkiem, kawałki więc te mogły już tam leżeć poprzednio. Ponadto mają one wygląd, jakby używano ich do papilotów, a to chyba nie odpowiada wcale pańskiej hypotezie.

— Prawdziwie zdumiewa mnie pańska przenikliwość — odezwał się Grys, przypatrując się uważnie memu krawatowi.

Zmieszałem się nieco z powodu tej niespodziewanej pochwały i zapytałem:

— A pan co myśli o tem?

— Przecież pan wie, że od chwili, gdy sprawę tę oddałem panu w ręce, nie myślałem wcale o niej.

— W każdym razie...

— W każdym razie jest to pewnem, że list ten leżał na biurku Lavenforta w chwili jego śmierci, że Eleonora wzięła go po przeniesieniu zwłok do innego pokoju i schowała do kieszeni, a potem postarała się uwolnić od ajenta i rzuciła klucz do kominka, a przedtem zaś uczyniła to samo z listem. Są to fakty, wniosek zaś może pan wyprowadzić z nich sam.

— Dobrze, powstrzymam się jednak od tego wniosku, dopóki nie dowiem się napewno, czy przypuszczenia me są słuszne, czy też fałszywe.

Poprosiłem jeszcze Grysa, by dał mi na wszelki wypadek adres agenta, zwanego „Czułym węchem“ i pożegnawszy się z nim, udałem się wprost do pana Beleya.

XVIII.

— A więc pan nigdy nie słyszał o okolicznościach, towarzyszących temu ślubowi?

Takie pytanie zadał mi pan Beley, gdym go prosił o wytłómaczenie, dlaczego nieboszczyk Lavenfort tak nienawidził Anglików.

— Nie — odpowiedziałem.

— Nie można się temu nawet i dziwić — rzekł, podnosząc się na poduszkach (był jeszcze rekonwalescentem) — najwyżej może sześć osób tylko żyje, które mogłyby powiedzieć, gdzie i w jakich okolicznościach Lavenfort spotkał piękną pannę, z którą się ożenił.

— Pan jednak zna te okoliczności?

— Owszem i gotów jestem opowiedzieć panu wszystko, jeżeli to choć trochę pomoże tej sprawie. Horacyusz Lavenfort był w młodości bardzo ambitny i zamierzał ożenić się z pewną bogatą Amerykanką. W interesach handlowych udał się do Anglii i tam poznał inną, bardzo piękną damę, która tak go oczarowała, iż wyrzekł się bogatej Amerykanki; interesa jednak jego były wówczas tak złe, iż myśleć nawet nie mógł o żenieniu się. W dodatku ukochana jego nie miała żadnych funduszów, natomiast ciężar w postaci małego dziecka, które wychowywała; rodzice jego byli nieznani, ona zaś sama nic o nich mówić nie chciała. Jak jednak często bywa, namiętność okazała się silniejszą od rozsądku i Lavenfort poprosił jej o rękę. Potem dopiero opowiedziała mu smutną historyę swego życia. Z urodzenia była Amerykanką — ojciec jej był znanym kupcem w Chicago — i dopóki żył, nie zbywało jej na niczem, umarł jednak w chwili, gdy ona zaczęła dorastać i nosić długie suknie. W dzień pogrzebu ojca spotkała pewnego Anglika, który zniszczył jej życie. Umiał on owładnąć sercem niedoświadczonej panny, prawie dziecka i wkrótce ją poślubił. Pierwszego zaraz dnia po ślubie wrócił do domu pijany i uderzył ją. Był to jednak dopiero początek. Gdy się okazało po likwidacyi interesów jej ojca, że spadek po nim nie jest tak wielkim, jak się spodziewano, mąż zawiózł ją do Anglii, gdzie w dalszym ciągu znęcał się nad nią. Mimo to męża jej nikt nie uważał za ordynarnego i nieinteligentnego; był to bardzo elegancki mężczyzna, który raczej rzuciłby ubranie jej do ognia, niż zgodziłby się, aby żona jego ukazała się w niegustownej toalecie. Te okrucieństwa znosiła aż do urodzenia dziecka, poczem uciekła od męża i za trochę swych kosztowności założyła niewielki sklepik. O mężu swym nic już potem nie słyszała i dopiero na kilka dni przed poznaniem się z Lavenfortem, dowiedziała się z gazet, że umarł. Wtedy była już wolną, lecz chociaż kochała Lavenforta z całego serca, nie chciała wyjść za niego. Wstyd i poniżenia, jakich doznawała ze strony pierwszego męża, wywarły na niej takie wrażenie, iż uważała się za niegodną zostania jego małżonką. I dopiero, gdy po kilku miesiącach dziecko jej umarło, zgodziła się wyjść za Lavenforta. Odwiózł ją do Nowego Jorku. Interesa poszły bardzo dobrze, tak iż mógł otoczyć ją zbytkiem. Mimo to, nieszczęścia, jakich doznała poprzednio, nadszarpały tak jej zdrowie, iż po dwóch latach zmarła na jego rękach. Cios ten strasznie dotknął Lavenforta. Chociaż w krótkim czasie wziął do siebie Mary i Eleonorę, z poprzedniej radości życia nie pozostało w nim ani śladu. Żony swej nigdy nie mógł zapomnieć i najmniejsza wzmianka a Anglikach doprowadzała go do wściekłości...

Gdym schodził po schodach, przypomniałem sobie, że mam przy sobie list dla Freda, syna pana Beleya. Nie wiedząc, w jaki sposób mu go wręczyć, postanowiłem zostawić go na stole w bibliotece, znajdującej się obok gabinetu. Zapukałem do drzwi, a ponieważ nikt mi nie odpowiadał, zajrzałem do środka. Pokój ten oświetlony był tylko ogniem z kominka, przed którym siedziała jakaś dama. Wziąłem ją z początku za panią Beley. Gdym jednak podszedł bliżej, przekonałem się, żem się pomylił. Była to wysoka, elegancka dama, w niczem nie przypominająca szczupłej i niskiej żony mego starszego kolegi.

— Przepraszam — rzekłem i chciałem się cofnąć z pokoju.

Naraz jednak wydało mi się, że jest ona podobna do Mary Lavenfort. Postąpiłem kilka kroków naprzód i zapytałem.

—Mam zaszczyt mówić z miss Lavenfort?

— Owszem — odpowiedział mi miły głos, a gdy zbliżyłem się, zobaczyłem, że przedemną siedzi nie Mary, ale Eleonora, która od pierwszego wejrzenia podbiła me serca i której męża postanowiłem ścigać do ostatka.

Zdziwienie moje było tak wielkie, iż nie mogłem go zupełnie ukryć: Cofnąłem się też zaraz i szepnąwszy kilka słów przeproszenia, chciałem wyjść, czułem bowiem, iż nie jestem w stanie z nią rozmawiać. Powstrzymała mnie jednak zaraz:

— Czyż pan zamierza odejść, nie odezwawszy się do mnie ani słowem? Czyż tak pana zdziwiła moja tutaj obecność?

— Nie wiem... nie spodziewałem się... — odrzekłem zakłopotany — słyszałem, że pani jest chora, nigdzie nie wychodzi i nikogo nie przyjmuje, nawet swych przyjaciół.

— Tak, byłam chora. Obecnie jednak czuję się już lepiej i chciałam wieczór spędzić z państwem Beley. Osamotnienie moje zbyt mi jest przykrem.

— Sądzę, że lepiej byłoby, gdyby pani przynajmniej na razie tu zamieszkała — rzekłem. — Zamieszkanie pani w pokojach umeblowanych zasmuciło nas wszystkich.

— Żałuję, bardzo, lecz w obecnych warunkach winnam pozostawać samą. Za towarzyszkę mam maleńką dziewczynkę, w której niewinnych oczkach znajduję wiele dla siebie pociechy. Najgorszem dla mnie jest to, iż nie wiem, co dzieje się w naszym starym domu. Co porabia Mary? Może pan opowie mi co o niej? Pani Beley nie mogę o to pytać. Jest ona dla mnie bardzo dobrą, nie podejrzewa jednak nawet, że między nami zaszły nieporozumienia. Sądzi, że był to tylko kaprys z mej strony i wyrzuca mi, że opuściłam swą kuzynkę. Pan jednak wie, że nie mogłam postąpić inaczej i że... — głos jej zadrżał i nie skończyła już zaczętego zdania.

— I ja nie mam wiele do opowiedzenia — odparłem — w każdym razie nie ukryję przed panią niczego! Może pani zechce zadać mi jakie pytanie?

— Chciałabym wiedzieć, jak się czuje Mary, czy się już uspokoiła?

— Kuzynka pani chorą nie jest, spokojną jednak nazwać jej nie mogę. Ciągle jest podniecona, a zarazem i przygnębiona, lecz przyczyną tego stanu jest przedewszystkiem niepokój o panią.

— Widuje więc pan ją często?

— Pomagam panu Hervelowi w wydaniu ksią-

żki, napisanej przez pani stryja, wskutek też tego większą część czasu spędzam w jej domu.

— Książki mego stryja? — powtórzyła ze zdziwieniem.

— Tak, książkę tę należy wydać jak najprędzej i...

— I Mary panu poruczyła tę pracę?

— Istotnie, ona.

— Jak mogła coś podobnego zrobić? — zawołała z oburzeniem Eleonora.

— Spełniła tylko w ten sposób życzenie nieboszczyka. Jak już pani wiadomo, stryj pani zamierzał wydać tę książkę w lipcu i...

— Nie mówmy o tem — przerwała mi — nie chcę o tem nic słyszeć. Czy wszystko w domu po staremu? Ta sama służba, nic się specyalnego nie zdarzyło?

— Nie, zdaje mi się, że w domu nie zdarzyło się nic szczególnego.

— A Mary nie zamyśla opuścić domu?

— O ile wiem, nie.

— Zapewne przyjmuje gości, by osłodzić sobie samotność?

— Tak, lecz bardzo nielicznych.

— Może mi pan wymienić ich nazwiska?

— Owszem — odparłem, patrząc jej prosto w twarz — bywa u niej pani Beley, Dżilbert, Martin i jeszcze jeden pan...

— Proszę, jak się nazywa?

— Klawering.

— Nie bardzo chętnie wspomina go pan. Dlaczego? Czy można wiedzieć?

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. Była blada i spokojna, lecz spokój ten wydał mi się udanym.

— Dlaczego? — powtórzyłem jej zapytanie, opuszczając bezwiednie głowę na dół. — Ponieważ wiem o tym panu coś bardzo podejrzanego.

— Co mianowicie?

— Zjawiał się w domu pani pod dwoma różnemi nazwiskami; ostatnim razem nazwał się Klaweringiem, a poprzednio...

— Jak?

— Robbinsem.

Nastała cisza, tak, iż słyszałem szelest jej sukni; głos jej brzmiał jakby bezwiednie, gdy mówiła:

— Jak często przychodził ten pan do Mary?

— Raz tylko był.

— Kiedy mianowicie?

— Wczoraj wieczorem.

— I długo bawił?

— Mniej więcej dwadzieścia minut.

— Sądzi pan, że jeszcze przyjdzie?

— Nie.

— Dlaczego?

— Ponieważ wyjechał do Ameryki.

Po tych słowach w pokoju nastąpiło nowe milczenie. Czułem, że patrzy na mnie, lecz nawet gdyby mi przyłożono rewolwer do skroni, nie śmiałbym podnieść na nią oczu.

— — — — — — — — — — —

Gdy mówiłem Grysowi, że chcę sprawdzić jeden fakt, a następnie oddam mu całą sprawę, zamierzałem tylko przekonać się, czy Klawering spędził zeszłe lato w tej miejscowości, co i Eleonora. Nic dziwnego też, że gdy następnego dnia znalazłem się w „Union Hotelu“ w R. i poprosiłem o książkę przyjezdnych gości, drżałem cały z niecierpliwości. Nie potrzebowałem wiele czasu, by przekonać się, że przypuszczenia me są słuszne. Tuż przy nazwiskach Lavenforta i jego kuzynek znajdowało się i nazwisko Henryka Klaweringa. Teraz wreszcie okazało się, że klucz do tej zagadki mam w ręku. Pospieszyłem natychmiast do biura telegraficznego i wysłałem depeszę do ajenta, którego polecił mi Grys. Po niejakim czasie otrzymałem odpowiedź, iż przyjedzie dopiero za trzy godziny.

Dla zabicia czasu udałem się do pana Ponel, jednego z naszych klientów, który bawił w tej miejscowości. Zastałem go w domu i przez dwie godziny musiałem udawać i podtrzymywać rozmowę, podczas gdy myśli me zajęte były czem innem.

Na dworcu zjawiłem się przed przyjściem pociągu, którym miał przyjechać ajent. Z wagonu wyszedł jeden tylko pasażer; był to młody człowiek o miłej powierzchowności i wesołej twarzy, lecz tak bardzo różny od tego, jakim ja sobie wyobrażałem „Czuły węch“, iż sądziłem, że jest to ktoś inny. Młody ten człowiek podszedł zaraz do mnie i podał mi swą kartę. Lecz i to jeszcze nie przekonało mnie i dopiero gdy mrugnął porozumiewawczo oczami, uwierzyłem, że jest to oczekiwany agent.

Odpowiedziałem na jego ukłon i rzekłem.

— Bardzo się cieszę, że jest pan tak punktualny.

— Proszę bardzo — odparł — chciałbym jednak wiedzieć, jakie pan ma dla mnie zlecenie?

— Będzie pan działał sam, pod tym jednak warunkiem, że poinformuje mnie pan natychmiast o rezultacie swych badań. Na razie proszę iść w pobliżu mnie, niech pan jednak nie odzywa się do mnie, dopóki nie dam panu znaku ręką.

— Będę postępował według pańskich życzeń.

— Bardzo dobrze — rzekłem i wręczyłem mu spis faktów, które winien był wyjaśnić.

Przeczytał je uważnie, poczem podszedł do kominka i kartkę rzucił do ognia.



Przepraszam — rzekłem, i chciałem wyjść z pokoju.

— Robię to na wypadek, gdyby się ze mną co stało.

— Lecz...

— Niech się pan nie boi, nie zapomnę: mam doskonałą pamięć i obywam się bez wszelkich notatek.

Roześmiał się przytem dobrodusznie i pożegnał się ze mną temi słowy.

— W przeciągu dwudziestu czterech godzin usłyszy pan o mnie.

Notatka, którą mu wręczyłem była następującej treści:

„Dowiedzieć się, w czyjem towarzystwie i którego dnia przybyły tu panny Lavenfort, co tu robiły, jakie znajomości zawarły i kiedy wyjechały; wogóle jakie życie prowadziły.

„Drugie, zebrać te same szczegóły o Klaweringu, który znał się z temi paniami i wszędzie im towarzyszył.

„Trzecie dowiedzieć się o nazwisku pastora, który w lipcu zeszłego roku obowiązki swe spełniał w pewnem miasteczku oddalonem o dwadzieścia kilometrów i który umarł w grudniu. Toż samo dowiedzieć się i o służącym pastora“.

Nie mogę powiedzieć, by mi wesoło upływał czas od chwili gdy się pożegnałem z agentem. Byłem ciągle podniecony i uspokoiłem się dopiero, otrzymawszy od niego następujący list:

„Szanowny Panie!

„Osoby te przybyły do R. trzeciego lipca zeszłego roku. Było ich czworo: stryj, dwie kuzynki i pokojówka Dżen. Stryj bawił tu tylko trzy dni, poczem wyjechał w podróż. Podczas jego nieobecności obie panny znajdowały się często w towarzystwie Klaweringa. Trzeciego dnia po powrocie stryja, tj. 19 lipca pan ten niespodzianie wyjechał. Co się zaś tyczy młodych panien to one bardzo często wyjeżdżały i bawiły się wesoło; największe powodzenie miała miss Mary. Eleonora zachowywała się daleko poważniej, a w końcu swego pobytu tutaj, bardzo nawet posmutniała; mówią, że stosunki jej z kuzynką popsuły się. Wyjechali wszyscy razem pierwszego lipca 1875 roku.

„Henryk Klawering przyjechał tutaj 6 lipca 1875 roku, nic o nim nie wiadomo, chyba to tylko, iż widywano go często w towarzystwie panien Lavenfort.

„W miasteczku F., położonem stąd o siedmnaście kilometrów, żył pastor nazwiskiem Robbins; zmarł on w grudniu zeszłego roku. Służący pastora nazywa się Tymoteusz Cook; przed dwoma dniami powrócił do F. i można go wybadać“.

— — — — — — — — —

— Czyż pan tego nie rozumie? — mówił mi Grys. — Przecież pańskie przypuszczenie, że Eleonora jest żoną Klaweringa, zabójcy Lavenforta, nie tylko nie osłabia podejrzeń przeciw niej, lecz jeszcze bardziej je potęguje.

— Przecież pan sam mówił, że Eleonory nie można podejrzewać o tak straszne przestępstwo.

— Według mego przekonania Eleonora Lavenfort jest niewinną.

— Cóż w takim razie mam uczynić?

— Jedno tylko: niech pan dowiedzie, że przypuszczenie pańskie jest błędne.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem.

— Nie wydaje mi się to tak trudnem — rzekł Grys — gdzie jest ten pański Cook?

— Na dole — odpowiedziałem — czeka tam wraz z „Czułym węchem“.

—Bardzo to mądrze z pańskiej strony; niech pan z łaski swej zawoła ich tutaj na górę.

Wyszedłem na korytarz i poprosiłem ich obydwóch.

— Przypuszczałem, że pan zechce sam ich wybadać — rzekłem, powróciwszy do pokoju.

W chwilę potem zjawili się agent i Cook.

— Pan jest właśnie tym człowiekiem, który służył u nieboszczyka pastora? — zaczął Grys, nie patrząc jednak na tego, do kogo mówił. — Sądząc z pańskiej powierzchowności, zdaje mi się, że powie nam pan prawdę.

Zawsze mówię prawdę; jeszcze nikt nigdy nie nazwał mnie kłamcą.

— Czy nie wie pan, jak się nazywała ta pani, przy której ślubie był pan za świadka? — zapytał Grys, przystępując wprost do rzeczy.

— Niestety, nie.

— Lecz pamięta pan dobrze, jak wyglądała.

— Pamiętam jej wygląd tak dobrze, jakby była moją matką. Gdybym nawet żył sto lat, to jeszcze nie zapomniałbym przepięknych oczów tej pani.

— A więc poznałby ją pan odrazu?

— Bez wątpienia.

— Dobrze; proszę nam teraz opowiedzieć wszystko, co pan wie o tym ślubie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Trylogia dubrownicka“ na scenie krakowskiej.

(Do artykułu na str. 4).

Z bardzo sympatycznym utworem dramatycznym autora chorwackiego zapoznała nas dyrekcya teatru miejskiego w Krakowie. Utworem tym jest „Trylogia dubrownicka“ hr. Ivo Vojnowicza.

Dramat hr. Vojnowicza złożony jest z trzech części, z których każda rozgrywa się w innym czasie. Pierwszej tematem jest historyczna chwila wkroczenia w granice rzeczypospolitej dubrownickiej wojsk francuskich z Napoleonem. Stało się to w r. 1806, pod pozorem naruszenia neutralności przez Dubrownik. W czasie tym świetność rzeczypospolitej, utworzonej jeszcze w średnich wiekach na wzór Wenecyi, należała do przeszłości. Po sławnych, znakomitych patrycyuszach dubrownickich, pozostali ich potomkowie, zdegenerowana, zasklepiona w martwych tradycyach kasta, z pośród której wyróżnia się bardzo dodatnio postać dzielnego Orsata Wielkiego, będąca odbiciem jednego z najwybitniejszych działaczy i pisarzy dubrownickich, polityka i poety chorwackiego, kneza Pucicza.

Wogóle każda scena tej „Trylogii“, każda postać, każdy nastrój jest echem rzeczywistej przeszłości. Wszystko, co autor w niej powiedział, zaczerpnął ze smutnej kroniki dziejów prastarej republiki dubrownickiej, w chwilach jej starczego konania, z zapisków kronik rodzinnych dubrownickiego patrycyatu, wreszcie ze wspomnień i tradycyi własnego rodu.

Orsat Wielki, dalej Luksza i Niko Menze, przedstawiają niejako kontynuacyę jednego procesu psychologicznego, jedną i tę samą duszę patrycyusza dubrownickiego, ulegającą rozlicznym przemianom pod wpływem nowych idei, nowych czasów.

Sztukę tę wystawił teatr krakowski ze zwykłą starannością i w doskonałej obsadzie ról. Z licznego grona artystów na szczególne uznanie zasłużyli pp. Wysocka i Solscy, którzy stworzyli kreacye nadzwyczajnie plastyczne i pełne wyrazu i stylu. Również pp. Sosnowski, Jednowski, Siemaszko i Mielnicki wywiązali się znakomicie z swych zadań. Na osobną wzmiankę zasługują bardzo piękne dekoracye pędzla p. Spitziara.



Niebezpieczeństwo nowej wojny na Dalekim Wschodzie: Patrol kozacki, badający paszporty podejrzanych indywidduów w kraju nadamurskim.



Niebezpieczeństwo nowej wojny na Dalekim Wschodzie: Podczas ruszania lodów na Amurze pod Nikołajewskiem. W tyle (X i XX) gmachy zarządu żeglugi parowej na Amurze.

Smierć w płomieniach.

Fabryki celuloidowe mają od dawna już opinię bardzo groźnych dla otoczenia, z tego powodu, że mnóstwo w nich materyału palnego i wybuchowego. Władze więc przestrzegają pilnie, by tego rodzaju fabryki mieściły się w lokalach odosobnionych i by przestrzegano w nich przepisów w tym kierunku wydanych. Zdarza się jednak często, że mimo czujności władz, niesumienni przedsiębiorcy urządzają fabryki celuloidowe w domach mieszkalnych i w ten sposób narażają nie tylko życie swoich robotników ale i mieszkańców domu.

Taki właśnie wypadek wydarzył się w Warszawie przed kiku dniami. Mianowicie w domu przy Rynku Starego miasta pod l. 13 na I. piętrze utrzymywał Szmul Stenzel w ciasnych dwóch pokojach mieszkania fabryczkę wyrobów celuloidowych, a do pracy w niej używał nieletnich robotników w wieku 10—15 lat. W jednym z pokoji wybuchł przed paru dniami pożar, a płomienie i dym gryzący wtargnęły zaraz do klatki schodowej, odcinając mieszkańcom wyższych piętr drogę do ucieczki. Sytuacya była więc bardzo groźna. Na szczęście wezwana natychmiast straż pożarna zjawiła się bardzo prędko na miejscu wypadku i zdołała zlokalizować a następnie ugasić pożar, oraz uratować mieszkańców przed niechybną śmiercią.

Straż pożarna warszawska spisała się bardzo dzielnie, zasłużyła też na słowa gorącego uznania. Dowodził nią kapitan Hłasko, odznaczyli się zaś pompierzy Wesołowski, Pietrasiewicz, Stachurski, Obremski, Antosik, dalej Bogdański, Sokołowski, Samojłowicz i Gołubcow.

Mimo dzielnej i energicznej akcyi ratunkowej straży, pożar w fabryczce pochłonął jedno życie ludzkie. Zginęła mianowicie w płomieniach 12-letnia robotnica tej fabryczki, a zwłoki dziewczęcia znaleziono dopiero po ugaszeniu pożaru pod gruzami kuchni.

Oczywista rzecz, że Stenzlowie będą za karygodny występek pociągnięci do surowej odpowiedzialności.



Niebezpieczeństwo nowej wojny na Dalekim Wschodzie: Zaprzęg reniferów, ciągnący z lasu sanki.

W sprawie Wielkiej Szarady.

Ponieważ numer zamykamy już we środę, a losowanie nagród odbędzie się we czwartek dnia 17 marca b. r., nazwiska wygrywających podamy w numerze 13 naszego pisma z dnia 26 marca b. r.

Kronika tygodniowa.

(Pogrzeb Luegera. — Stolica Wiedeń. — Polemika dziennikarska. — Niepowodzenia Bilińskiego. — Głąbiński a pan minister. — Votum zaufania. — Czeska „niewypłacalność“. — O polski charakter lwowskiego uniwersytetu. — Nowe podatki. — Panorama, czy dyorama? — Hr. Tonio Wodzicki. — O pomnik Kościuszki. — Bakcyle głupoty ludzkiej. — Nikt prorokiem w ojczyźnie. — Strajk czeladzi masarskiej — Nowe veto. — Defraudacya Dueza).

Ubiegły tydzień nazwać możemy zupełnie spokojnie tygodniem Luegera, ponieważ opinia publiczna i prasa zajęte były prawie wyłącznie śmiercią burmistrza Wiednia, przygotowaniami do pogrzebu i samym pogrzebem, na który nawet z Krakowa wyjechała deputacya z wieńcem, opatrzonym niezbyt fortunnie obmyślanym napisem: Wielkiemu burmistrzowi stolicy — miasto Kraków. Słusznie zauważył jeden z publicystów, że Niemcy powinni się dziwić, czytając ten napis, dotąd bowiem za nasze stolice uważaliśmy: Kraków, Warszawę i Gniezno, nigdy zaś Wiedeń. Jeśli już miało być zaznaczone wyraźnie, że jesteśmy lojalni, należałoby było napisać: „c. k. stolicy“, lub „stolicy naszej c. k. szerszej ojczyzny.

Śmierć Luegera dała także sposobność *Reformie* i *Głosowi Narodu* do wypowiedzenia sobie kilka czułości z okazyi artykuliku p. t. „Nareszcie“. *Głos Narodu* wystąpił w obronie rzekomo obrażonych idei chrześcijańsko-społecznych, Reforma odpowiedziała bardzo mądrze, wskazując na treść artykułów *Głosu Narodu*, różniących się między sobą tak zasadniczo, że nie można nawet wyobrazić sobie, że pojawiły się w organie chrześcijańsko-społecznym. Wogóle skonstatować należy, że wszystkie odcienie prasy polskiej oddały zmarłemu słuszne pochwały, nie idealizując go zbytecznie, znanym jest bowiem jego stosunek do słowiańszczyzny, trudno zaś przemilczeć, że jako burmistrz Wiednia był wzorem, godnym naśladowania dla autonomicznych dostojników.

Z powodu Luegera przycichło także chwilowo wrzenie w austryackiej Radzie państwa, zajmującej się obecnie projektami podatkowymi, które odesłano do dalszej destylacyi do komisyi. Wszyscy mowcy tak *pro* jak i *contra* ostro krytykowali te przedłożenia, które z komisyi wyjdą w gruntownie zmienionej postaci. Gruntowną klęskę poniósł także pan minister skarbu, nie potrafiwszy przeprowadzić swego wniosku w sprawie nowej pożyczki w kwocie 182 milionów koron. Wobec niepewnej sytuacyi i onegdajszego głosowania nad przedłożeniem, Rząd nie chce się narażać na ponowną klęskę i dlatego nie chce się starać o postawienie tej sprawy na porządku dziennym. W każdym razie skonstatować należy, że pomiędzy Bilińskim a Kołem Polskiem istnieje naprężenie stosunków, sprawa pożyczki upadła bowiem skutkiem absencyi bardzo wielu posłów z Koła Polskiego w czasie głosowania. Widać także, że obecny rząd nie posiada za sobą stanowczej większości, na którą mógłby liczyć.

Prezydyum Koła Polskiego odbyło naradę, na której omawiano absencyę posłów polskich przy głosowaniu w Izbie, przyczem wyrażono przekonanie, że nie była ona wcale zwrócona przeciw ministrom polskim. Z innej zaś strony donoszą, że prezes Głąbiński wyraził ubolewanie wobec ministra Bienertha z powodu, iż Koło polskie dowiaduje się o najważniejszych przedłożeniach rządowych nie z ust kompetentnych, ale dopiero na posiedzeniu Izby. Na jednem z najbliższych posiedzeń Koła ma być jednak uchwalonem votum ufności dla polskich ministrów. choć przecież uporczywie utrzymuje się pogłoska, że owa absencya nie była wcale przypadkową i że prezes Koła i minister skarbu czują przecież coś do siebie.

Wogóle sytuacya jest bardzo niepewną i niejasną, każdej chwili należy oczekiwać rekonstrukcyi gabinetu, która wedle postulatów Unii słowiańskiej ma polegać na zupełnie równej ilości foteli ministeryalnych niemieckich i słowiańskich. Najgorzej przedstawia się położenie w Czechach, którym dzięki zatargom niemiecko-czeskim, grozi wprost niewypłacalność, a niema wcale nadziei uruchomienia sejmu czeskiego, zwłaszcza, że exminister Schreiner, choć już polityczny nieboszczyk, oświadczył na zgromadzeniu, że ci, którzy się przyczynili do jego upadku, tak prędko się go nie pozbędą. A wiadomo jak obfitą w skutki jest polityczna działalność byłego ministra, który słusznie nazwanym został polityczno-obstrukcyjnym komiwojażerem.

We Wiedniu pokutuje także sprawa uznania polskiego charakteru uniwersytetu lwowskiego, na którą ruscy mężowie stanu gotowi się zgodzić jedynie za cenę utworzenia samoistnej wszechnicy ukraińskiej we Lwowie. Podnoszono wprawdzie na sesyi, jaka się odbyła między przedstawicielami Polaków i Rusinów, że na razie brak jeszcze Rusinom kandydatów na katedry uniwersyteckie, zapowiedziano jednak z kompetentnego źródła, że pomiędzy młodzieżą, zgłębiającą tajniki wiedzy w galicyjskich fabrykach ukraińskiego oleju, jest wyżej tysiąca pisklął, które już dziś czują w sercu powołanie do profesorskiej godności. Zanim zaś powiększą oni kadry ukraińskich uczonych, można będzie zaprosić do objęcia wykładów zagranicznych profesorów, pod warunkiem jednak, że do lat pięciu zobowiążą się nauczyć po ukraińsku. Rząd nie ma wcale ochoty przyobiecać utworzenia ruskiego uniwersytetu we Lwowie, ma bowiem dość kłopotu z włoskim fakultetem prawniczym, który także jakoś nie może się doczekać zrealizowania. I południowi Słowianie czekają także na sposobną chwilę, aby wykołatać założenie uniwersytetu słowiańsko-chorwackiego, a na wszystkie w tym kierunku starania panowie Bienerth i Biliński pokazują tylko puste kieszenie i odpowiadają zgodnie: *Unmöglich! Überfluss an Geldmangel!* — co, jak wiadomo, jest chroniczną słabością austryackich finansów.

Dzięki niej właśnie cieszymy się już podwyższeniem cen biletów kolejowych i czekamy na nowe projekty podatkowe, które mają zatkać dziurę w budżecie i uszczęśliwić ludzkość. Podatek od zapałek, podatek starokawalerski, od wód mineralnych (nawet i Bilińskiej) to przyjemności, czekające nas w niedalekiej przyszłości. Uświetnią one nazwisko wynalazcy, stanowiąc nowe liście bobkowego wieńca, zdobiącego czoło excelencyi Bilińskiego, któremu historya nada zapewne chlubną nazwę „ojca austryackiego deficytu“.

Gdy tak przedstawia się sytuacya w stolicy naszej c. k. szerszej ojczyzny, tymczasem my nad Wisłą mamy znów sposobność zajęcia się sprawą obchodu grunwaldzkiego, do którego przygotowania postępują nader żółwim krokiem. Panorama Styki, w zasadzie utrącona przez troskliwych o dobro społeczeństwa „trzeźwych polityków“, weszła znów, dzięki różnym szowinistom w stadyum dyoramowe i gotowa na hańbę naszej lojalności wobec Niemców doczekać się przyobleczenia w czyn. A jeśli kiedy to właśnie teraz nie powinniśmy drażnić Niemców, skoro oni tak są wobec nas uprzejmi, że dali sobie spokój z wywłaszczaniem Polaków. Zrobili to wprawdzie tylko dlatego, iż hr. Aehrenthal płakał w Berlinie, że go Polacy nie będą popierać przy przeprowadzeniu najważniejszych spraw państwowych, a zresztą, co się odwlecze, to nie uciecze, my jednak powinniśmy się znać na grzeczności i z kurtoazyi dać spokój jakimś tam Grunwaldom, zlotom, płomiennym mowom i t. d. Należy posłuchać mądrych rad hr. Wodzickiego, wyłuszczonych tak misternie w liście do subkomitetu i ograniczyć się jedynie do żałobnego nabożeństwa za dusze poległych Krzyżaków, bo za ich prześladowców chyba modlić się nie będziemy. Można ostatecznie odsłonić pomnik Jagiełły, ale w barbakanie, aby niepotrzebnie nie drażnić Niemców, przyjeżdżających do Krakowa, ale ze zlotami i barbakanami dajmy sobie spokój, bo nuż Sokoły, podniesione na duchu, zapomną o przestrogach poważnych ludzi, usłuchają jakiego krzykacza narodowego i pomaszerują na Berlin! Aż włosy stają na głowie i przyznam się szczerze, że na samo wspomnienie podobnej rebelii przez jedną noc posiwiały mi wszystkie włosy, choć je dopiero wczoraj farbowałem!

Umiarkowanie, to cnota, którą nam nasi konserwatyści ciągle zalecają i dają piękny przykład, jak się w niej ćwiczyć. Nauki jednak puszczamy mimo uszu i staramy się na każdym kroku, aby tylko robić trudności które potem muszą się na nas. I znów zachciało się narodowi, aby równocześnie z obchodem grunwaldzkim odsłonić pomnik Kościuszki, który miał zdobić stary Rynek krakowski. Znalazł się jakiś estetyk z Bożej łaski, który oświadczył się przeciw udzieleniu miejsca na Rynku ze względów „niestosowności tła architektonicznego i proporcyi placu“, a my zamiast okazać mu wdzięczność, radzibyśmy go w łyżce wody utopić! Czyż nie jest to odpowiedniejszem miejsce na Błoniach, które są już-choćby tylko dlatego, jakby do tego stworzone że Kościuszko siedzi na koniu? W razie wielkiego zebrania na Rynku koń łatwo może się spłoszyć i wywołać popłoch, na Błoniach można byc o to spokojnym! Jak zresztą wspaniale wyglądałby pomnik na tle Kopca, cofnięty naturalnie także nieco w stronę Woli Justowskiej, aby nie drażnić umiarkowanych patryotów swym wyglądem, boć przecież Kościuszko był skrajnym rewolucyonistą.

Nasza narodowa straż ogniowa gasi ducha, ile może, a my jeszcze narzekamy na nią i robimy ją przedmiotem złośliwych docinków. Nie dziwiłbym się nawet, gdyby się znalazł jaki uczony bakteryog, któryby podobnie, jak ów Dr Whitney Haen z Chicago, wynalazca bakcyli miłości, odkrył prątki głupoty ludzkiej i złośliwie ogłosił, że pod ich wpływem działają owi gasiciele ducha narodowego... Zamiast nazwiska ich wyryć złotemi głoskami, choćby na betonie, pokrywającym wnętrze podziemi Sukiennic od ulicy Świętego Jana, my naigrawamy się z nich i śmiemy mówić: Odpuść im Panie, bo nie wiedzą co czynią!

Ale niech was to pocieszy, zacni nasi opiekunowie, że nikt prorokiem w ojczyźnie! Wasze usiłowania oceni dopiero potomność i wdzięcznem sercem przekaże je historyi.

Nie obawiajmy się więc, pomnik Kościuszki nie zeszpeci nam zapewne Rynku i nie zetrze owej „patyny starożytności“, z którą tak harmonizuje błoto i kałuże, kto wie, może uda się i Mickiewicza przenieść z Rynku gdzieś w odleglejsze miejsce, a uzyskaną w ten sposób przestrzeń będzie można obrócić na pomniki dla naszych obecnych wielkości, w których głowach lęgną się owe plany, godne Kulparkowa lub Kobierzyna.

Pozatem wiedziemy żywot nader spokojny i tylko od czasu do czasu przerywany jakiemiś gwałtownemi wzruszeniami. Do najnowszych z nich należy zaliczyć strajk czeladzi masarskiej, który grozi nam wieprzowem wygłodzeniem w czasie zbliżających się Świąt Wielkanocnych, nowe *veto* kardynała Puzyny, który po Słowackim zabrał się do św. Józefa i zakazał (według doniesienia jednego z pism codziennych) tańców, zapowiedzianych na ten dzień w „Sokole“ i defraudacyę Dueza, likwidatora dóbr pokongregacyjnych we Francyi.

Właściwie ta ostatnia sprawa nie powinna nas wcale obchodzić, jako zbyt od nas oddalona, dlaczego jednak nie mamy się nią zająć, skoro n. p. proces hr. Tarnowskiej, jaki się obecnie toczy we Wenecyi, tak zainteresował nasze panie, iż chciały z Krakowa urządzać codziennie spacerowy pociąg do Wenecyi. Dzięki obstrukcyi mężów sprawa poszła *ad acta*. Co się tyczy Dueza, to o tyle interesują nas jego losy, iż dla krajowych defraudantów, którzy są właściwie tylko dyletantami w tym zawodzie, może on stanowić bardzo piękny pierwowzór, na jakim się będą odtąd kształcić. Cóż bowiem znaczy defraudacya jakichś kilku tysięcy wobec majstersztyku, którego dokonał ów defraudacyjny artysta, przywłaszczając sobie kilkanaście milionów. Najciekawszym jednak epizodem będzie uwolnienie zbrodniarza, był bowiem na tyle dowcipny, że dobrze ukrył rozmaite dokumenty, które mogą skompromitować wiele wysoko postawionych osób. Francuski „Czerwony sztandar“ jest zrozpaczony, pokazało się, że ów miliard, który miał wpłynąć z likwidacyi dóbr kościelnych, istnieje tylko na papierze, a i tą rentą, jaka pozostała, w imię partyjnego braterstwa dzielą się jeszcze różni czerwoni Duezi *et tutti quanti.*

X.

Napad bandycki pod Warszawą.

Z tej, zda się, bez dna kroniki, prawie że codziennych napadów bandyckich, na pierwsze miejsce wysuwa się napad rzezimieszków w d. 9 b. m. na folwark Daniewice pod Grodziskami, będący własnością p. Waleryi Mierzejewskiej.

W skromnym i szczupłym dworku mieszkały siostry Walerya i Marya Mierzejewskie wraz ze



Napad bandycki pod Warszawą: Ś. p. Dzierżanowski, zabity przez bandytów.

swym bratem ciotecznym Dzierżanowskim i siostrzeńcem Lucyanem Ziemkiewiczem.

W dniu krytycznym o godz. 10 wieczorem, służba dworska, składająca się z parobka, dwu kobiet i pastucha, ułożyła się już do snu, zaś obie panie Mierzejewskie i panowie Dzierżanowski i Ziemkiewicz siedzieli w pokoju stołowym, gdy nagle gromada bandytów, złożona z 15 do 20 osób, otoczyła dworek. Wpadłszy do izby, w której spał parobek, unieruchomili go groźbą strzelania. Pan Dzierżanowski, człowiek atletycznej budowy i siły, postanowił się bronić i zatarasowawszy drzwi do pokoju stołowego, z kijem w ręku czekał pojawienia się bandytów. Wywaliwszy drzwi, zasypali bandyci pokój gradem kul rewolwerowych, z których jedna trafiła w brzuch p. Maryę Mierzejewską, a druga w nogę p. Ziemkiewicza. Ukryty za występem ściany p. Dzierżanowski uderzeniem kija powalił na ziemię jednego z opryszków, ale widząc, że ze wszystkich stron może zostać zaatakowanym, wyskoczył przez okno do ogrodu, szukając w ciemnościach nocy ratunku. Tu dopadli go zbrodniarze i zamordowali, znęcając się nad nim w straszny sposób, czego dowodem były liczne ślady na trupie.

Na odgłos strzałów przybyli włościanie ze wsi sąsiedniej Urzut, na widok których bandyci, nie znalazłszy w dworku spodziewanych skarbów, rozpoczęli odwrót.

Nad ranem zmarła trafiona kulą w brzuch Marya Mierzejewska, a p. Ziemkiewicz, aczkolwiek ranny, ma się stosunkowo nieźle.

Zawiadomione o napadzie władze policyjne rozpoczęły poszukiwania za zbrodniarzami, dotychczas jednak na ślad sprawców nie trafiono.



Napad bandycki pod Warszawą: Okno w kuchni dworku, wyrwane i rozbite przez bandytów, przez które wdarli się do mieszkania. Obok pozostała przy życiu Walerya Mierzejewska.

Napad ten wywołał w całej okolicy serdeczny żal włościan, których sympatyą cieszyli się tak panie Mierzejewskie, jak szczególnie śp. Dzierżanowski.

Echa tragedyi weneckiej.

Przed sądem przysięgłych w Wenecyi toczy się od dni kilku sensacyjny proces przeciw hr. Tarnowskiej i jej dwu kochankom Naumowowi i Pryłukowowi oraz służącej Perierównej, oskarżonym o zbrodnię morderstwa, na osobie hr. Komarowskiego przed trzema jeszcze laty popełnioną.

Sprawa to znana powszechnie i dokładnie, więc tylko w kilku słowach ją przypomnimy. Tarnowska, pochodząca z zamożnej rodziny O'Rourke, osiadłej zdawna w Rosyi, wyszła jako młoda dziewczyna za mąż za hr. Tarnowskiego. Pożycie ich było jednak nieszczęśliwe, Tarnowska bowiem lubiła się bawić i szukała wrażeń w stosunkach pozamałżeńskich. Małżonkowie więc rozeszli się po pewnym czasie, a wówczas Tarnowska rozpoczęła życie jeszcze swobodniejsze. Kochanków zmieniała jak rękawiczki, wyciągając od nich olbrzymie sumy pieniędzy. Jednym z kochanków Tarnowskiej był hr. Komarowski, człowiek zamożny, w sile wieku, który opętany przez kobietę szatana, gotów był nawet ją poślubić.



Napad bandycki pod Warszawą: Ś. p. Marya Mierzejewska, zabita przez bandytów.



Śmierć w płomieniach: Odznaczeni za dzielny ratunek na Starem Mieście warszawscy strażacy.



Echa tragedyi weneckiej: Ostatnie zdjęcie hr. Tarnowskiej, robione przed samą rozprawą.

Tarnowska oczywiście nie kochała Komarowskiego i utrzymywała równocześnie stosunek z młodym Rosyaninem Naumowem, zakochanym w niej do szaleństwa i z adwokatem z Moskwy Pryłukowem. Wspólnie z Pryłukowem postanowiła usunąć Komarowskiego z tego świata, aby zagarnąć jego majątek, a przedewszystkiem zrealizować jego policę asekuracyjną na pół miliona franków. W tym celu oboje, w porozumieniu ze służącą Tarnowskiej, podniecili zazdrość Naumowa do tego stopnia, iż młody człowiek popełnił zbrodnię. Udał się mianowicie do Wenecyi, gdzie hr. Komarowski podówczas przebywał i w jego mieszkaniu zastrzelił go. Zbrodnia wyszła wnet na jaw, a policya po przeprowadzeniu śledztwa uwięziła wszystkich spólników.

Śledztwo bardzo szczegółowe trwało prawie trzy lata, tak że proces dopiero obecnie mógł się rozpocząć.

Zainteresowanie procesem jest bardzo wielkie, zwłaszcza w Wenecyi. Charakterystyczne zaś jest, że podobnie jak w Krakowie w czasie procesu Borowskiej, także w Wenecyi najliczniejszą część audytoryum stanowią panie tamtejsze, które wystrojone, we wspaniałych, olbrzymich kapeluszach, zajęły pierwsze ławki.

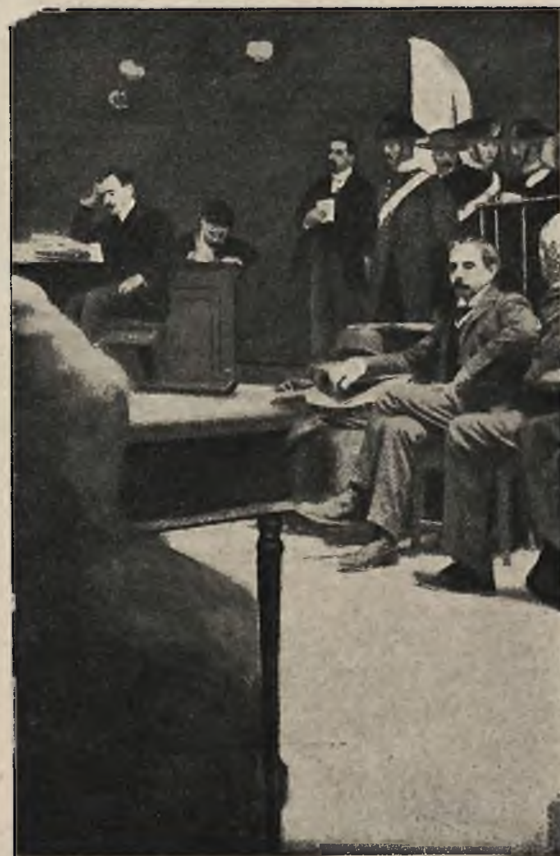
Obwinieni Naumow i Pryłukow przyznają się do zarzuconych im czynów, przyczem obaj składają winę na Tarnowską, która tak ich oplątała swymi wdziękami, że na jej skinienie gotowi byli popełnić zbrodnię. Natomiast Tarnowska i jej służąca bronią się inaczej i przeczą, jakoby akt oskarżenia, obwiniając je o nakłanianie do zbrodni, był uzasadniony.

Publiczność, przysłuchująca się z uwagą toczącej się rozprawie, sympatyzuje z ofiarami demonicznej kobiety, zwłaszcza Naumow, którego szczere uczucia nie ulegają wątpliwości, ma wielu zwolenników. Natomiast Tarnowska nie cieszy się wśród audytoryum sympatyą, często też przychodzi do demonstracyi przeciw niej.

Proces wenecki potrwa czas dłuższy, co najmniej do końca kwietnia.

Dramat miłosny.

Trójkąty małżeńskie, widziane na deskach teatralnych, przyzwyczajeni jesteśmy brać przeważnie dość lekko, ufni w to, że autor fraszki czy komedyi zawsze pomyślnie i nieszkodliwie rozwiąże rze-



Echa tragedyi weneckiej: Naumow, składający zeznania.

komo groźną sytuacyę. Życie jednak przeważnie nie zna tych komicznych stron trójkątów małżeńskich i zazwyczaj rozwiązuje je z nieubłaganą i ślepą konsekwencyą dramatu.

Jeden z takich dramatów rozegrał się w Warszawie przed paru dniami, aczkolwiek jego początki i zawiązek sięga daleko wcześniejszych czasów. Przed rokiem poznali państwo Siwińscy, mieszkający w Warszawie przy ul. Żurawiej pod l. 27, młodego i eleganckiego Juliusza Malińskiego, urzędnika biura przewozowego „Ekonomia". Młodzieńcowi podobała się młoda, bo 22 letnia mężatka i zaczął bywać w domu państwa Siwińskich. Z biegiem czasu mąż zauważył, iż Maliński zaczął zbyt czule odnosić się do jego żony i gdy parokrotne upomnienia, by miłość swą zwrócił w inną stronę, nie odniosły skutku, wypowiedział natrętnemu młodzieńcowi dom. Rozstając się z domem państwa Siwińskich, rzucił zapalony adorator wdzięków pani Siwińskiej groźbę pod adresem męża, że pomimo wszystko, rozłączy go z żoną.

P. Siwiński nie przykładał zbytniej wagi do tych słów rozżalonego młodziana i wkrótce puścił je w niepamięć, tem bardziej że Maliński przez długi czas tak jakby zniknął z Warszawy i nigdzie się nie pokazywał. Aż oto przed paru dniami pani Siwińska niespodziewanie spotkała go na ulicy Żurawiej. Maliński, przywitawszy się z panią S., zaczął ją zaklinać, by porzuciła męża i stała mu się powolną. Młoda kobieta uciekła do domu, nie chcąc narażać się na kompromitacyę, tem bardziej że Maliński zachowywał się tak głośno i hałaśliwie, iż zwracał uwagę wszystkich przechodniów. Wpadłszy do kamienicy poczęła uciekać przed natrętem. Za nią pobiegł także Maliński i gdy pani S. znalazła się na dziedzińcu, dał do niej w plecy dwa strzały z rewolweru. Ciężko raniona kobieta padła na twarz, a w tej chwili rozległ się trzeci strzał. To Maliński palnął sobie w usta.

Karetki pogotowia odwiozły oboje do szpitala w stanie nadzwyczaj groźnym, bo Malińskiemu kula uwiązła w podstawie mózgu a pani S. kula naruszyła kręgosłup.

Stanisław Poleński.

Jeden z najpopularniejszych w Krakowie ludzi i ogólną tu cieszący się sympatyą. Zdobył tę popularność i sympatyę swemi licznemi a zawsze dosko-



Echa tragedyi weneckiej: Pokojówka Perier w sali sądowej.



Echa tragedyi weneckiej: Naumow opowiada płacząc, o stosunku swoim do Tarnowskiej.



Echa tragedyi weneckiej: Karabinierzy, prowadzący Tarnowską do sali rozpraw.



Echa tragedyi weneckiej: Pryluków i Naumow pod strażą karabinierów w sali sądowej.

nałemi kreacyami na scenie krakowskiego teatru ludowego, której służy wiernie swym niezwykle bujnym talentem od dwu przeszło lat.

Krakowianin z rodu, doszedłszy do wieku, w którym mógł rozpocząć zawód aktorski, wyjechał do Poznania i wstąpił do teatru tamtejszego, za dyrekcyi Rygiera. Talent i pracowitość pozwoliły mu zająć wnet pierwszorzędne stanowisko, uznanie krytyki i sympatye bywalców teatralnych.

W Poznaniu pracował przez lat ośm, poczem wrócił do Krakowa, gdzie objął dyrekcyę teatru ludowego. Mimo bardzo ciężkich warunków materyalnych, w jakich scena ludowa się znajduje, potrafił względnie szczęśliwie pokonać trudności i po roku oddał teatr dyr. Rygierowi, pozostając na stanowisku artysty.

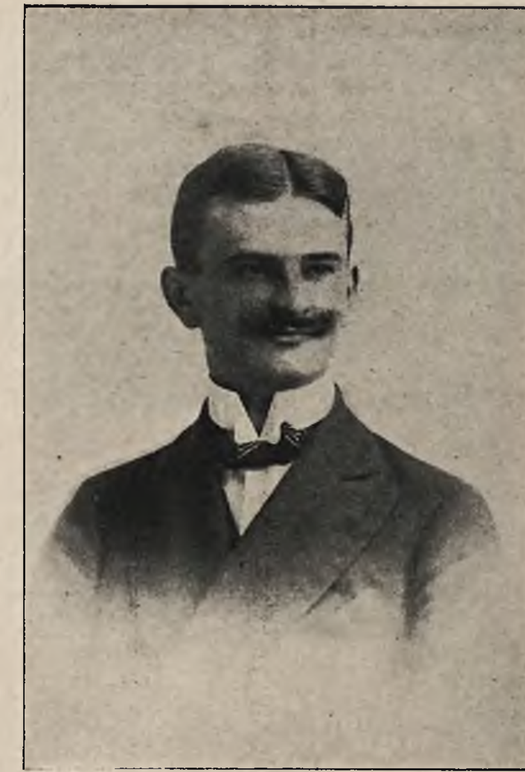
I jest istotnie tego teatru podporą i siłą nieocenioną. Gra prawie codziennie, zawsze w swych rolach doskonały, pełen humoru i temperamentu. Repertuar też ma olbrzymi i bardzo wszechstronny. Jako komik niezrównany. Już pojawienie się Poleńskiego na scenie budzi zawsze salwę serdecznego śmiechu. Bo publiczność go lubi ogólnie i chętnie słucha jego dowcipów, jego pysznych kupletów, chętnie przypatruje się jego ewolucyom choreograficznym, bo i ta dziedzina nie jest mu obca. Nie podobna tu wymienić nawet najważniejszych ról, które w ciągu ostatniego roku kreował na scenie teatru ludowego, tyle ich było, a wszystkie doskonałe. Zaznaczyć jednak należy, że obok ról komicznych gra Poleński znakomicie role na wskróś dramatyczne, że wspomnimy o Maternie z „Hanusi“ Hauptmana. Rolą tą udowodnił Poleński, że w dziedzinie dramatu jest także siłą niepospolitą, że talent to nieprzeciętny i bardzo szeroki.



Dramat miłosny: Marya Siwińska, raniona ciężko przez Malińskiego.

Nic dziwnego więc, że publiczność krakowska darzy go serdeczną sympatyą, nic dziwnego też, że dyrekcya, oceniając jego załugi dla sceny i chcąc temu uznaniu dać wyraz, przeznaczyła dlań jeden wieczór jako benefis, a wieczorem tym będzie najbliższa sobota, w którą odegrana zostanie nowa, nieznana dotąd w Krakowie operetka p. t. „Nasi fikalscy“, przeróbka Danielewskiego. Rolę tytułową odegra benefisant.

Zdaje się, że zbyteczne są słowa zachęty dla publiczności, by pospieszyła tłumnie w ten dzień do teatru ludowego, gdyż nazwisko benefisanta starczy za najlepszą reklamę.



Dramat miłosny: Julian Maliński, morderca z miłości.

Niesympatyczny dar milionera.

Jednym z najbardziej niesympatycznych ludzi w Ameryce jest właściciel i twórca trustu naftowego w Stanach Zjednoczonych, John Rockefeller. Jego brutalna i niszczycielska polityka wobec wszystkich pozatrustowych rafineryi naftowych w Ameryce, wywołała oburzenie w całych Stanach Zjednoczonych. Przez długi czas „Standard Oil Company“ dopuszczała się takich nadużyć, że były prezydent Stanów był zmuszonym wypowiedzieć walkę rabunkowej gospodarce Rockefellera, głównego akcyonaryusza tej kompanii naftowej. Sprawą zajęły się sądy, które miały porządny kłopot z butnym i pewnym siebie miliarderem. Rockefeller unikał przyjęcia wezwania sądowego a mając do swej dyspozycyi automobile i pociągi błyskawiczne, przenosił się sam z szaloną szybkością z jednej części Ameryki do drugiej. Gdy go w końcu przychwycono, został skazany na grzywnę w kwocie 146 milionów koron.

Mimo to pozostał mu jeszcze olbrzymi majątek, zdobyty wyzyskiem i utrącaniem konkurencyjnych przedsiębiorstw naftowych.

Z tych kapitałów, ofiarował Rockefeller obecnie 120 milonów koron na cele publiczne, przypuszcza-



Stanisław Poleński.



Niesympatyczny dar milionera: John Rockefeller.

jąc, że takiem „odczepnem“ uspokoi swoje sumienie i przekupi opinią publiczną.

Stało się jednak inaczej, gdyż ani opinia powszechna w Ameryce, ani senat Stanów Zjednoczonych nie zachwycił się „hojnym“ darem tego wyzyskiwacza, wszyscy bowiem zdają sobie sprawę z tego, że pieniądze, ofiarowane przez Rockefellera nie pochodzą z niczyjej pracy, lecz z krzywdy ludzkiej.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Szarada: Kopernik.

Łamigłówka: Worskla.
łada
adept
doki.
yukatan.
Słowik
łagoda.
adonis.
waga.
Jesse.
aerolit.
ghettho
idrya.
enius.
laska.
ławra.
opole.

Arytmogryf: Żelazowa wola.

Szarada: Operacya.

Zadanie do przestawienia: Male parta do czarta.

Kwadrat magiczny:

G r u d z i e ń
G r o t t g e r
G r u ź l i c a
G ó r n i c k i
G r z y w a c z
G r z y m a c z
G a b r y e l a
G a s z t o ł d

Rebus: Człowiek prosty opiera swoje zdanie na tem co widzi.

Dobre rozwiązanie nadesłali: Pp.: W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, O. Górkowa Chyrów, M. Planeczka Kraków, M. Gebhardt Kraków, S. Faliszewski Baligród, W. Trzcińska Lipica Górna, K. Jurkiewicz Gwoździec, T. Macieliński Jabłonica, Sokół w Jaworznie, Ks. E. Krynicki Bobiatyn, M. Germanówna Lwów, Z. de Boulange Gawłówek, M. Łaszkiewicz Trzciana, W. Nowacki Chmielów, J. Burliga Lwów, T. Grabowieński Polanica, J. Zbiegieł Jęzor, M. Zabierzewska Kraków, Z. Spitzerówna Tarnów, J. Bochnia Mokrzyszów, A. Brandys Podegrodzie, A. Bocsoń Bóbrka, K. Fuchs Czeremchów, S. Kowalówka Kraków, K. Kaum Kraków, E. Michalec Kraków, E. Mikhalec Kraków, A. Gralewski Kraków, A. Pankowski Kraków, S. Riedl Kraków, W. Cieplik Lwów, E. Rogozinski Kraków, Z. Ciechanowski Stary Sambor, J. Stępień Lwów, J. Czerski Trzęsówka. K. Jurajdowa Gliniany, W. Biestek Wiśniowa, W. Budzianowska Buczacz, H. Kisielewska Kołomyja, M. Malinowska Oświęcim, H. A. Krupecki Warszawr, W. Krupski Zborów, F. Kaczorowski Pilzno, M. Kulikowa Lwów, J. Lewicki Krosno, M. Gajewski Libiąż, L. Bialik Częstochowa, K. Buraczewski Łódź, L. Grzesicki Nowy Sącz, K. Dudek Nowy Targ. W. Ostrowski Warszawa, J. Kostmanowicz Kołomyja, T. Wilczyński Łódź, J. Lemański Warszawa, J. Pick Warszawa, J. Lisowski Kraków, K. Miaskowski Płock, R. Konopacki Warszawa, K. Englisch Kraków, G. Głuchowski Łódź, K. Pilecki Radom, L. Barbacki Lwów, M. Lech Kalisz, H. Lasociński Kraków, W. Patlewicz Przemyśl, J. Nowacki Sambor, F. Frankowicz Podgórze, J. Kula Lasocin, L. Grünther Warszawa, W. Thun Rzeszów, M. Jelonek Biliny, F. Boczarski Kraków, S. Sokołowski Kraków. L. Dębiński Rzeszów, M. Błuchowski Sanok J. U. Wiśniowa, H. Chodkiewicz Warszawa, Razik Kulesza Lublin.

Nagrodę przez losowanie otrzymał F. Frankowicz Podgórze. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. R. Hibl, Nowy Sącz: Rozwiązanie nadeszlo w swoim czasie. Zapisane jest pod nr. 2201.

WP. M. Germanówna, Lwów: Rozwiązanie zagadek z nr. 8. nadeszło już po oddaniu pisma naszego na prasę drukarską.

WP. Krupecki, Zborów: Prosimy.

WP. J. Kulesza, Skierniewice: Wszystkie rozwiązania, jakie otrzymaliśmy w swoim czasie, a które odpowiadały warunkom konkursu, pomieściliśmy w spisie nazwisk ogłoszonym w 9, 10 i 11 numerze naszego pisma.

WP. J. Jarczykowski, Warszawa: Rozwiązanie zapisanem jest pod nr. 575.

WP. A. Chocsner, Kraków: Rozwiązania nie otrzymaliśmy.

WP. K. Jezienicki, Małkowce: Nadesłane nam uprzejmie szarady i zagadki są dobre. Umieścimy je w miarę miejsca.

WP. A. Kudła, Tawin: Roczniki 1906, 1907 i 1908 są zupełnie wyczerpane.

WP. Cz. Kozłowski, Warszawa: Nadesłane pierwej i obecnie zagadki są zupełnie dobre, w miarę miejsca umieścimy wszystkie.

Głosy publiczne.

W „**Chromofotoskopie**“ przy ul. Floryańskiej l. 4 (parter) jest wystawiona bardzo aktualna serya, zdjętych z natury nader interesujących i pięknych widoków, miasta Petersburga, słynnych pałaców Cesarskich w „Peterhofie“, „Krasnem Siole“, „Gatczynie“, „Carskim Siole“, wraz z wewnętrznem urządzeniem salonów itp.

Równocześnie w „Stereoglobie“ przy ul. Szewskiej l. 15 wystawione są nader interesujące i piękne widoki zdjętych z natury Alp sabaudzkich, z wycieczką pełną wrażeń na górę Mont-blanc. Nadto przesuną się przed oczami widza miasta Saint Gervais, Albert-ville, Chamborry, Anneccy, Miejsce kąpielowe Les-Bains. Twory natury, zamczyska, góry alpejskie, przesmyki górskie, wodospady, lodowce itp.

Niewątpimy, że serya ta zachwyci wszystkich miłośników pięknej natury.

Kącik humorystyczny.

Z koszar.

Pan porucznik przed wyruszeniem na ćwiczenia polecił podoficerowi, aby infanterystę Grzyba, który narzekał na ból oka, przedstawić do wizyty lekarskiej. Ten zapisał w „marodenbuchu“: Infanterysta Grzyb do skonstantowania jego oczu. Po powrocie z ćwiczeń kazał sobie pan porucznik podać książkę chorych i znalazł w niej następującą uwagę:

— Oba oczy na swojem miejscu.

Dr Finkeles
c. i k. lekarz pułkowy.

We Wiedniu.

— Czy wiesz pan, jak mówią w Paryżu o naszym Luegerze?

— Nie! Ale radbym bardzo się dowiedzieć!

— A po francusku!...

Uspokoiła ją.

— Ach mamusiu! Jaka ja jestem nieszczęśliwa! Tatko powiedział, że, jak to prawda jest, że jest on moim ojcem, tak nigdy nie pozwoli na to, abym wyszła za Romana...

— A... jeśli tylko o to mu idzie, to możesz być moja córko spokojna! Zaraz jutro możesz wyjść za niego!...

Z wykładu okulistyki.

Pan profesor okulistyki wykłada swym słuchaczom o różnych zboczeniach narządu wzrokowego.

— Aby dokładnie módz ocenić odległość jakiegoś przedmiotu, potrzebujemy koniecznie obydwu oczu, spoglądając natomiast jednem, bardzo łatwo możemy się mylić. W ten sposób da się wytłumaczyć, dlaczego cyklop Polifem, rzucając odłamami skalnymi na okręt Odysseusza, nie mógł go trafić. Będąc jednookim, nie mógł należycie ocenić oddalenia...

— Ależ panie profesorze — zauważa jeden ze słuchaczy — przecież Odysseus wybił mu przedtem to jedyne oko!

— Tak! Ma pan słuszność! — zakonkludował profesor, nie tracąc fantazyi — to się także do tego przyczyniło..

Po wystawie portretów kobiecych.

Pani baronowa (osoba nader korpulentna — do przyjaciółki): Nie wiem, co się zachciewa memu mężowi! Kazał na gwałt malować mój portret à la Watteau... a u mnie przecież wszystko jest naturalne!

Co za szkoda!

Agent: Chciałem się zapytać, czy państwo dobrodziejstwo nie zechcieliby przystąpić do związku palenia ciał zmarłych...?

Suchy mąż nader chudej żony: Nie panie! Ani ja, ani moja żona nie jesteśmy za tem!

Agent: Co za szkoda! A ciała państwa paliłyby się tak doskonale!

NADESŁANE.



Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

I.

4 lutego 1908 roku koło godziny pół do siódmej wieczorem jakiś człowiek dzwonił do małego pałacyku przy ulicy Ampere. Z kołnierza jego palta, podniesionego do góry z powodu ostrego chłodu, wyglądała gładko wygolona twarz o okrągłym nosie. Drzwi otworzyły się i na progu ukazała się pokojówka, przystojna brunetka.

— Tu mieszka pan baron de Langunan? — zapytał przybyły.

— Tak, tutaj!

— Jestem „extra“.

— Ach, bardzo dobrze, proszę!

Przybyły poszedł z poważną i dostojną miną za pokojówką, która skierowała się do kuchni.

— „Extra“ — oznajmiła grubej, czerwonej, w białym czepku na głowie kucharce, która krzątała się koło rondli na kominie.

„Extra“ skłonił się, położył swój kapelusz na krześle i zdjął palto. Teraz gdy znalazł się w kuchni, zaczął rozpogadzać swe poważne oblicze; jego gładka, lodowata twarz służącego z porządnego domu, zdawała się topnieć w gorącu bijącem z pieca kuchennego i marszczyła się do uśmiechu, przypominającego komika z podrzędnego kabaretu. Wyglądał na lat trzydzieści. Był średniego wzrostu, lecz mimo, iż postać jego opięta we frakowy garnitur wydawała się dość szczupłą, robił jednak wrażenie człowieka silnego i zręcznego.

Obie kobiety spojrzały na siebie.

— A Franciszek? — zapytała kucharka.

— Franciszek? — powtórzył „extra“.

— Służący, którego przysyłano do nas zwykle od „Lambert i Duranda“...

„Lambert i Durand“ był to wielki zakład, który dostarczał towarzystwu paryskiemu wykwintnych potraw, przysmaków zagranicznych i wypożyczał swych służących.

— Wyjechał przed dwoma tygodniami — odpowiedział „extra“. — Ja mam go zastąpić... i uczynię wszystko, by go panie nie żałowały za bardzo...

Ostatnim jego słowom towarzyszył miły uśmiech.

— Zajmijmy się jednak nakryciem do stołu! — zwrócił się do pokojówki.

— Może pan napije się czego przedtem? — zaproponowała kucharka.

— Chętnie.

Przyniosła trzy kieliszki i napełniła winem. Extra“ wziął jeden i rzekł:

— Pani zdrowie, pani...?

— Anna — dodała kucharka.

— Pani Anno! A?...

Wesołe jego oczy spoczęły teraz na pokojówce.

— Jestem Małgorzata — odpowiedziała.

— ...I panno Małgorzato! — zakończył „extra“.

Trącił się z niemi kieliszkiem, wypił i mlasnął językiem.

— Jeszcze kropelkę? — zapytała kucharka.

— A robota?

— Nie ucieknie, nie potrzeba się spieszyć — wyjaśniła pokojówka. — Obiad jest dopiero punkt ósma.

— Ile osób będzie?

— Pan baron, pani baronowa, panna Kamilla...

— To córka ich?

— Tak... panna Dubois, jej nauczycielka... Pan Piotr Cartelegue, jej narzeczony.

— Piotr Cartelegue?... Król stu dwudziestu koni?...

— Tak, on!

Kieliszki napełniły się znowu.

— Wasza panna Kamilla dobrze trafiła! — odezwał się „extra“. — On dobrze jeździ, ten król stu dwudziestu koni, a przytem ma i ładny majątek! Samochody Cartelegue'a strachem wszystkich przejmują.

— Zwłaszcza — dodała pokojówka — po ostatnich wyścigach, które pan Piotr wygrał przed miesiącem na Jasnem Wybrzeżu...

— Ach, to jest zuch! Przyjemnie było patrzeć!

— To pan go widział?

— Byłem wówczas w Monte-Carlo... Byłem pułkownikiem...

„Extra“ kaszlnął, napił się madery i poprawił się.

— Byłem tam z swym panem pułkownikiem de la Roche Chalais... A kto więcej będzie dzisiaj na obiedzie?

— Ojciec i matka pana Piotra... pan de Terrade, główny inżynier fabryk Cartelegue'a... I wreszcie notaryusz domowy, pan Badoux z żoną.

— Dziesięć osób.

— I pan Duret — dodała kucharka.

— Ach, tak! — rzekła Małgorzata — wuj pani.

„Extra“ zapytał:

— Jest jakiś Duret, który należy do wszelkich towarzystw dobroczynnych... Czy to ten sam?

— To on właśnie!

„Extra“ dokończył swego kieliszka.

— Powiem pani, że pan już przyszedł — rzekła Małgorzata. — Jak pan się nazywa?

— Alfred Gauthier.

Pokojówka wyszła.

— Pani madera, pani Anno, jest doskonała — zaczął „extra“. — Chciałbym zakończyć swe życie między taką butelką jak ta i taką kobietą jak pani... Ach! nie nudziłbym się ani chwili!

— Taką kobietą jak ja?

— Ależ tak!

I przybyły służący objął w pół kucharkę.

— Panie Alfredzie! — zaprotestowała otyła kobieta.

Alfred puścił ją, gdyż nadchodziła właśnie Małgorzata, mówiąc:

— Chce pan już iść?

„Extra“ ruszył za nią.

W korytarzu podsunął się ku niej bliżej i spojrzał na nią czułym wzrokiem.

— Cóż znowu? — odezwała się brunetka.

„Extra“ nie odpowiedział nic, lecz pocałował ją gorąco.

— Panie Alfredzie!

— Ach, ja uwielbiam panią!

— Choć przed pięciu minutami dopiero pan mnie poznał?

— Spadło to na mnie jak piorun z nieba!

— Psst!

Wchodzili do sali jadalnej. Pani domu jeszcze tu nie było.

— Pójdę po bieliznę stołową — rzekła Małgorzata.

„Extra“ został sam. Jednym rzutem oka zlustrował cały pokój. Potem podszedł szybko do szafy w ścianie i otworzył ją. Skrzywił się jednak zawiedziony.

— Naczynia stołowe... — mruknął.

Znalazł się jednak natychmiast przy kredensie i zajrzał do dolnych półek. Twarz jego rozpromieniła się.

— Srebro...

Z kieszeni fraka wyjął kawałek miękkiego wosku i nachylił się przy zamku, a jednocześnie nadsłuchiwał, nadstawiając uszu w stronę westibulu. Nagle rozległ się lekki szmer kroków. Wosk zniknął z jego dłoni. Ukazała się pani domu, za nią szła Małgorzata z całą masą serwet na ręku.

Ruchliwa twarz Alfreda stała się znowu poważną i zimną. Skłonił się w milczeniu i przypatrywał ukradkiem swej jednowieczorowej pani. Wysmukła a nawet chuda pani de Lagunan nie wyglądała na swe trzydzieści siedm lat, zwłaszcza przy nader delikatnych rysach. Cera jej jednak była już zupełnie zwiędła i pożółkła. Skóra tej kobiety, wydającej się młodszą niż była, robiła wrażenie pergaminu, tak pozbawioną była wszelkiego blasku, co wraz z chudością nadawało jej dumnej i pysznej twarzy wyrazu jakiejś nieprzyjemnej ostrości.

Baronowa przyjrzała się naprzód uważnie służącemu, potem zadowolona z jego wyglądu, rzekła:

— Pokojówka pokaże gdzie są rzeczy.

W chwili tej w głębi westibulu rozległ się głos dzwonka elektrycznego.

— Proszę iść otworzyć — rzekła baronowa.

Alfred wyszedł z sali jadalnej i skierował się powoli do drzwi wiodących na ulicę. Naprzód przyjrzał się zamknięciu i zmierzył wysokość, na jakiej znajduje się zasuwa i dopiero potem otworzył. Wszedł wysoki mężczyzna. Alfred domyślił się, że jest to Duret, o którym mówiono, przewodniczący wielu towarzystw filantropijnych, wuj pani de Lagunan. Przybyły zdjął kapelusz i palto przy pomocy służącego i przeszedł do salonu.

Maksym Duret miał pięćdziesiąt pięć lat. Był wysoki i silnie zbudowany. Jego lśniąca czaszka, krótkie, lekko szpakowate faworyty, wyniosła postawa, chód i ruchy, nadawały mu wyrazu imponującego. Wzrok jego był zimny, twarz już postarzała, lecz jeszcze o regularnych rysach, odznaczała się pewną dostojnością. Siadł, lecz prawie w tejże chwili powstał, ukazała się bowiem pani de Lagunan.

Wuj z siostrzenicą uścisnęli się za ręce i spojrzeli dokoła siebie, aby upewnić się, czy niema w pokoju nikogo więcej. Potem zapytał półgłosem:

— Masz wszystkie listy?

— Mam — szepnęła baronowa.

— A klucz?

— Próbowałam te, które miałam tutaj... Żaden z nich nie nadawał się... Kupiłam wobec tego cały pęk kluczy i wreszcie znalazł się jeden odpowiedni...

— Dobrze.

— A więc — rzekła baronowa — chwila nadeszła?

— Ma się rozumieć.

— Nakoniec!

Byli cokolwiek bladzi. Nie mówili już nic więcej, lecz w milczeniu spoglądali na siebie.

Po chwili odezwała się pani de Lagunan.

— Uda się nam teraz lepiej niż przed dwudziestu laty?

— Niema dwóch Juljanów Naixent! — odparł Duret.

Milczenie zapanowało znowu. Maksym Duret zaczął spacerować po pokoju z rękami w kieszeniach, z głową opuszczoną na dół. Pani de Lagunan siadła na kanapie, szczypiąc nerwowo palcami materyę obicia.

Po kilku minutach ukazała się młoda panna. Była to Kamilla de Lagunan.

— Dobry wieczór, wuju — rzekła, podchodząc ku niemu i podając mu czoło do pocałowania.

Wnuczka cioteczna filantropijnego prezesa, była piękną blondynką o zielonych oczach. Dzięki uprawianiu sportów była jak na siedmnaście lat bardzo dobrze zbudowaną i rozwiniętą.

— Co dzisiaj robiłaś, drogie dziecko? — zapytał wuj.

— Rano Piotr woził mnie i pannę Dubois samochodem.

— Gdzieście były?

— W Chartres.

— Ładny spacer!

— Obejrzałyśmy katedrę i w południe wróciłyśmy... Po śniadaniu robiłam sprawunki z mamą...

— A kiedy pracowałaś?

— Przed chwilą... Panna Dubois uczy mnie...

Młoda panna przerwała. Weszła nauczycielka jej, panna Dubois. Nie miała jeszcze dwudziestu lat. Nie odznaczała się regularnością rysów. Swe ciemne włosy czesała w jakiś poważny sposób, który wcale nie był jej do twarzy. Miała natomiast przepiękne szare oczy, bardzo wielkie i bardzo łagodne, jakby całe były przepojone światłem. Powitała Maksyma Dureta, który jej się ukłonił.

— Rozmawialiśmy o mej pracy — rzekła Kamilla.

— Zadowolona pani ze swej uczennicy? — zapytał prezes.

— Owszem, bardzo jestem zadowolona.

Ludwika Dubois miała śpiewny, muzykalny głos, miękki i wesoły, który tak jak i jej spojrzenie, trafiał do serc słuchających.

— Czy sądzi pani, że może otrzymać świadectwo? — pytał dalej wuj. — Sprobujmy! Zrobimy teraz mały próbny egzamin.

Porozumiał się spojrzeniem z baronową, która podniosła się zaraz i rzekła:

— Muszę napisać jeszcze przed obiadem pilny list...

I wyszła, podczas gdy filantrop zaczął pytać Kamillę, która stała przed nim w komicznej postawie przestraszonego ucznia.

W chwili gdy baronowa opuszczała salon, ktoś na pierwszem piętrze wychodził z jej pokoju. Był to Alfred. „Extra“ w przejściu z kuchni do pokoju jadalnego zaszedł i na piętro, gdzie w ciągu minuty obejrzał dwa pokoje.

— Mam czas i na trzeci — szepnął do siebie.

Wprost pokoju baronowej, znajdowały się drugie drzwi. Zapukał do nich, lecz nikt mu nie odpowiedział. Wtedy wszedł i zamknął je za sobą. Ciemność panowała tu zupełna. Rozległ się lekki trzask i w rękach Alfreda zajaśniała woskowa zapałka.

— I to pokój kobiecy... — szepnął. — Skromnie umeblowany... To pewnie nauczycielki... Niema tu co robić...

Chciał wyjść, zatrzymał go jednak jakiś szmer. Zgasił więc zaraz zapałkę. Drzwi otworzyły się po. mału. Lecz zaledwie poruszyła się klamka, Alfred leżał już na podłodze i z iście akrobatyczną zwinnością wsunął się pod łóżko.

— Baronowa! — szepnął do siebie, wysuwając cokolwiek głowę. — Niech Bóg nad nią czuwa!

Była to w istocie pani de Lagunan. Skierowała się poomacku do łóżka i zakręciła guzik od przewodu. W górze na suficie zaświeciła się lampa. Potem podeszła do stolika, na którym stało pudełko drewniane do papierów. Z kieszeni wyjęła mały kluczyk, wsadziła do zamku i podniosła wierzch.

— Wybrała też czas do pisania listów! — mruczał do siebie „extra“. — Spiesz się z pisaniem zacna damo, bo muszę nakrywać do stołu!

Baronowa jednak nie siadła, ani nie zamierzała pisać. Wyjęła z za gorsu paczkę listów, włożyła je do pudełka, które zaraz zamknęła, a klucz starannie schowała do kieszeni.

— Ależ ona się trzęsie! — spostrzegł Alfred — a blada jak papier! Ach! Wreszcie!

Stłumił w sobie westchnienie ulgi. Baronowa znowu podeszła do guzika przewodu, zakręciła go i wyszła. Udała się wprost do salonu.

Państwo Radoux już przybyli. Notaryusz, niski mężczyzna o siwych, poważnych bokobrodach i żona jego, wysoka, szeroka w plecach jak kirasyer kobieta, obsypana biżuteryą, nadskakiwali Maksymowi Duret. Kamilla z nauczycielką rozmawiały na osobności.

— Panno Ludwiko! — zawołała słodko baronowa.

— Słucham pani?

Nauczycielka pospieszyła na wezwanie.

— Czy ma pani lak?

— Owszem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do rozwiązania.

Łamigłówka.

ułożyli S. F. i M. Cz. Podłęże.

Uzupełnić w ten sposób podane wyrazy. aby ich początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko nieżyjącego już sławnego malarza polskiego.

— ekla
— ryk
— ausen
— enata
— ork
— alwin
— irko
— ndyk
— razm
— anna
— skra
— anek
— ntyk
— emon
— efir
— orba
— mbir

Szarada.

Ułożył Cz. Lipiński, Kraków.

Odgadnijcie znaczenie szarady nie długiej:
Płynie rzeka wspaniała, a na każdym brzegu,
Masz literę na straży, z tych, co to w szeregu
Alfabetycznym stoją jedna koło drugiej.
Jeśli wszystko ustawi umiejętna ręka,
Całość da nam dziewczynkę. Jej imię.....

Figielek.

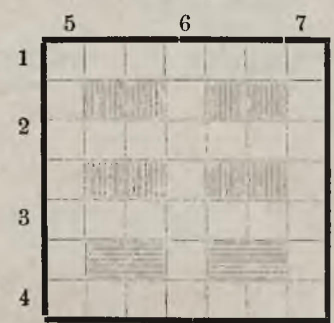
Ułożył M. Zagórski, Warszawa.

Cztery litery ustaw w jednym rzędzie,
A w myśli twojej sprytny oszust będzie.

Zagadka geograficzna.

Ułożyła W. Budzianowska, Warszawa.

Podane litery pomieszczać w ten sposób w polach kwadratu, aby utworzyły siedm nazwisk geograficznych.
a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, b, g, i, i, i, i, l, l, m, m, n, n, n, n, o, o, o, p, r, r, r, r, s, s, t, z.



Znaczenie wyrazów: 1. Przylądek w Europie południowej. 2. Miasto w Tessalii. 3. Miasto we Włoszech. 4. Prowincya włoska. 5. Wybrzeże Indyi przedgangesowych. 6. Kraj w Stanach Zjednoczonych. 7. Wodospad w Ameryce.

Szarada.

Ułożył K. Jaziernicki z Małkowic.

Pierwsze, to roślina często używana,
Z drugiem, lecz z kreseczką, zaś miejscowość znana
Gdy dodasz trzecie, masz postać kobiety,
W dziejach ojczystych poznasz jej zalety.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył N. N. Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bona, don, gust, matka, ó, paw, reje, tej.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Jazienicki, Małkowice.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie.

Pilzno, k, łysy, rety, wiesz, p.

REBUS



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania **M. Jokaja: „Poruszymy z posad ziemię“**. Powieść w czterech tomach.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę o[dpowiada: Stani]sław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie